



działa nieprzerwanie od 1929 r.

Przedstawicielstwo w Wilnie:  
Palangos 1/10-16, 2001 Wilno  
tel./fax: 370-2-611541, 223844

# ZNAD WILII



Rok X, nr 14 (243)

Wilno, 16 - 31 lipca 1999

## K KREDYT BANK PBI S.A.

## LOKATY TERMINOWE

	LTL	USD
1 m.	5.10%	3.70%
3 m.	8.10%	5.20%
6 m.	8.60%	5.70%
12 m.	9.10%	6.00%

Ul. Liejkylos 3/1, Wilno,  
tel. 79 11 03, 79 10 72

## W numerze:

- Polaga w XIX stuleciu
- Malarstwo wileńskie w Warszawie
- Bécn jakiego nie znamy
- Rzecz o St. Mackiewiczu
- 55. rocznica operacji „Ostra Brama”
- Felietony Ósmej Strony

## Z tygodnia na tydzień

4 lipca w Gliniszczach k. Podbrzezia upamiętniono męczeństwo polskiej ludności cywilnej. 20 czerwca 1944 r. litewska policja, pozostająca na usługach faszystów, zamordowała 39 mieszkańców majątku i osób przypadkowych. Odsłonięcie pomnika i otwarcie cmentarza jest dziełem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie.

6 lipca Litwa świętowała Dzień Państwa, u którego źródła historyczny fakt koronacji księcia Mendoga. Tegorocznym świętem w Wilnie towarzyszyły upały. Jeden z żołnierzy uczestniczących w ceremonii zemlewał.

7 lipca w Wilnie został otwarty oddział estońskiego banku „Hansbank” z udziałem „Swebbank”.

Sześcioro członków Sejmu Litwy deklaroowało swój majątek w wysokości ponad 1 mln litów. Miesięczna gaża posła wynosi około 3 tys. litów.

8 lipca posłowie na Sejm RL Jan Mincewicz i Jan Sienkiewicz zwolali konferencję prasową w związku z przyjęciem przez Sejm ustawy o podstawach mecenatu państwowego nad kulturą etniczną. Zdaniem posłów, ustawa ma objąć mecenatem wyłącznie kulturę litewską, natomiast wszystkie inne kultury zostały znegowane.

Premier Litwy Rolandas Paksas w wystąpieniu telewizyjnym zwrócił się do mieszkańców kraju. Przyznał on, że w państwie istnieje trudna sytuacja gospodarcza i prosił o czas, cierpliwość i możliwość porozumienia się.

Spółeczność polska obchodziła 55. rocznicę operacji AK „Ostra Brama”.

Ślužba weterynaryjna zatrzymała na granicy 24 tony drobiu z Holandii. Badania laboratoryjne wykazały, że mięso jest zakażone salmonellą.

Obraz Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem” będzie eksponowany w Wilnie do 31 sierpnia, a nie do 15 lipca, jak planowano wcześniej.

W Wilnie ma powstać Rosyjskie Centrum Kulturalno-Oświatowe. Planuje się, że będzie ono miało siedzibę w pomieszczeniu szkoły im. M. Dobużyńskiego. Plany oddania tej szkoły dla Rosji spotkały się z licznymi protestami społecznościami rosyjskiej miasta.

W Wilnie nietoperz zaatakował pozostawione w wózku nad rzeką dziecko. Kobieta, która broniła dziecka, raniona została w rękę.

W ramach polityki oszczędzania ministerstwo finansów Litwy proponuje zmniejszyć wydatki na utrzymanie organizacji budżetowych o 80 mln — 1 mld litów.

Według danych merostwa Moskwy, jej rząd zakupi na Litwie tylko 35 tys. ton żywności. Jednakże ostatnio mer miasta Jurij Łuzkow obiecał premierowi Litwy Rolandasowi Paksasowi, że zamówienia będą dwukrotnie wyższe.

Zmarł znany litewski pisarz Jonas Avyzius. Za zasługi przed Litwą był nagrodzony Orderem Giedymina. J. Avyzius był posłem na Sejm RL wybranym w wyborach 1996 r.

Znany rosyjski oftalmolog prof. Swiatosław Fiodorow planuje otworzyć w Wilnie klinikę. Dzieciak Fiodorowa pochodzi z Białorusi, jedna z babć była Polka.

Na odbytych 11 lipca zjeździe Związku Ojczyzny — Konsorsatywu Litwy, zarząd związku z jego przewodniczącym, byłym premierem Giedyminąsem Vagnoriusem poddał się do dymisji. Nowym przewodniczącym zarządu obrany został obecny premier Rolandas Paksas.

Na Litwie gości laureat Nagrody Nobla Czesław Miłosz. Głównym celem pobytu pisarza jest m.in. udział w zdjęciach do filmu, który kręci o nim telewizja niemiecka.



Polaga ściga tysiące miłośników morskich i słonecznych kąpiel

Fot. Bronisława Kondratowicz

## Wakacje niegdys

## „Sezon połagowski” czyli jak w XIX w. spędzano czas w nadmorskim kurorcie

(na podstawie wspomnień Heleny Klotyldy z Tyszkiewiczów Ostrowskiej)

Joanna Sokółowska

Polaga, niegdys wioską rybacką, odziedziczona w 1855 r. przez Józefa hr. Tyszkiewicza, brata Michała, słynnego podróżnika i archeologa, stała się powoli kurortem, od kiedy Józef i Zofia z Horwattów przenieśli swoją główną rezydencję z Landwarowa pod Wilnem, do Kretyngi na Zmudzi.

„Sezon połagowski” zaczynał się zwykle na początku czerwca. Wczesnym rankiem zjeżdżali pod dom w Kretyngie farnaki i służba pakowała co się dało. Wprawdzie nadmorskie wille były urządzone, ale każdy miał jakiś swój ukochany mebelkę, więc na wozach znajdowały się oprócz kufrów z ubraniami i pudeł na kapelusze, również stoliki, sekretarzyki, toaletki. Furmani ruszali rano. Tyszkiewiczowie wraz z całym zastępem domowników i służby przyjeżdżali wieczorem. Rozpakowywano się przy świetle świec, gdyż lampy były jeszcze w pudłach i wietrzono przestronne wille, żeby pozbyć się zapachu stęchłiny po zimie. Po paru dniach wszyscy już było zorganizowane. Zwano zapasy jedzenia, kiełbasy, wędliny litewskie, konfitury i sok z Kretyngi, maki i kasze z folwarków, inne produkty z Libawy. Podszciana zapiełniała się po brzegi. Apcieściami pakowane również głowy cukru, które należało potem tłuć, skrzynie z rodzynkami i różnymi przyprawami sięgały sufitu. Wszystkie owoce dostarczane były codziennie z ogrodów Kretyngi.

Okolo połowy czerwca zaczęli się zjeżdżać tzw. „kapielnicy” z różnych stron: z Moskwy, Petersburga, Wilna, Kowna, Kazania i z Warszawy. Byli to prawdziwi amatorzy kąpiei, bo na wesoły w Polagdzie nie mogli liczyć. W willech nie budowano kanalizacji, ga wychodzono z założenia, że latem jest

to zbyt ciepłe. A i te nieliczne letnie domy zarezerwowane były dla rodziny i sąsiadów, pokoje u miejscowej inteligencji też, to z rocznym wyprzedzeniem. Zostawały tylko chaty rybackie oraz białe domki na obrzeżach miasteczka.

Ale widać — słońce, plaża, las sosnowy i wspaniałe powietrze były wystarczającym powodem, żeby przez te parę miesięcy zgodzić się na różne niewygody. „Kapielnicy” przyjeżdżali koleją do Libawy, a stamtąd końmi do Polagi. Pod Libawą, z braku innej drogi, trzeba było jechać nad samym morzem. Jedno koło zanurzone w wodzie, a drugie toczyło się po piasku... Potem droga wiodła przez las. Wszędzie czuło się słony zapach morza, słońce przebliskało przez korony drzew i śpiewały ptaki. Po takiej podróży wszystkie kufrы i paczki, przywiązane pasami do wozu, pokrywały równą warstwą białego kurzu.

W tym czasie zaczynała się też stopniowo zjeżdżać rodzina, sąsiedzi i przyjaciele właścicieli Polagi. Zwykle jako pierwsi lokowali się Mielżyńscy, potem przyjeżdżał brat hr. Józefa — Jan Witold Emanuel z Waki z rodziną. Wszystkim imponowała żona Jana Witolda, Izabella. Wprawdzie była niewysoka, ale miała przepiękne, klasyczne rysy twarzy, mówiła zwykle przyciszonym głosem i miała bardzo wykwintny gust. W sprawach doboru toalety była niemalym autorytetem. Dzieci zawsze starannie ubierała, obojętnie w jakiej by się nie znalazły sytuacji. Stalymi gośćmi w Polagdzie byli też Platierowie. Zosia Platierowa, córka siostry hr. Tyszkiewiczów, smutnie wiodła życie. Od siedemnastego roku życia zamknięta na głuchej wsi, w ma-

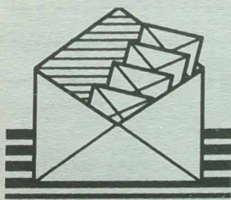
leńskim domku, w którym nawet pokoiu gościnnego nie było, tak więc nikt tam nie przyjeżdżał. Małżonek Zosi był tak zamożnym rolnikiem, że na nic innego, jak tylko na uprawy uwagi nie zwracał. Budował wprawdzie wielką rezydencję, ale chyba jakoś przekonania do tego nie miał, bo latami całym oprócz fundamentów, nie było. Dla siostrzenicy Zofii Tyszkiewiczowej lato w Polagdzie było więc chyba jedną rozrywką. General Słizin, emerytowany już adiutant general gubernatora w Finlandii w Helsingfors, na stałe wpisał się w krajozaby połagowskiego lata. Z dawnej kariery wojskowej pozostała mu tylko ranga, bo wygładem nie przypominał oficera. Gruby, łysy, z bokobrodami, zawsze starannie ubrany, pachnący lawendą, że złota bransolećka na ręce, zwykle przesadnie uprzejmym, ale wszyscy go bardzo lubili, bo był wesoły i lubił płatki różne figle. Wczasowicze wiedzieli, że jeśli general idzie na spacer oglądać zachód słońca, nie wolno mu przeszkadzać. Gdy z daleka na nadmorskiej plaży widziano jego sylwetkę, zmieniano trasę wycieczki, żeby się na niego nie natknąć.

Zofia i Józef Tyszkiewiczowie uważali, że prawdziwa gościnność polega na daniu gościom jak największej swobody. Nigdy się o nic nie pytano, wolno było robić co się każdemu podoba. Jedyną porą obiadu była bezwzględnie wymagana. Jeśli ktoś z dzieci się spóźnił, nie dostawało tego dania, które już było podawane. Spano długo, każdy wstawał kiedy chciał.

Mniej więcej od godziny 9 na werandach podawano śniadania. Do niektórych wille służba nosiła poran-

(Dokończenie na str. 7)

Do 25 lipca zapraszamy na wystawę malarską „Artyści znad Wilii” prezentując w siedzibie Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” Warszawa, Krakowskie Przedmieście 64, w godz. 9-17



### Spróbujcie lepiej siebie sprzedać

Niewątpliwie wygrał czytelnik dzięki współpracy „Znad Wilii” z „Kurierem Wileńskim”, kiedy to pisma łączą się na wspólne wydanie. Tylko za mało reklamy. Oto w piątkowym wydaniu „Kuriera”, na pierwszej stronie, odnotowują się różne tematy, tylko nie ma ni słowa, że w środku jest „Znad Wilii”, a przecież to jest tutaj, żeby m.in. całość lepiej sprzedać. Ja bym jeszcze i we czwartki dał zapowiedź takiego wydania, ponadto warto było reklamować, jak też dopatrzyć, że w prenumeracie był jasny indeks, odsyłacz pod hasłem „Znad Wilii” — patrz „Kurier Wileński”, gdyż wiele osób, w tej liczbie i ja, nie znalazło warunków prenumeraty.

J.R. Wilno

### Jak nas widzą

Nie trzeba Niemców, by przekonać się, jakie bywają stereotypy o nas („Z.W.”, 13/99). Niesamowite rzeczy o Polakach litewskich można usłyszeć od rodaków w Polsce. W ciągu trzech lat studiów poznałem wiele niesamowitych opowieści, odpowiedziałem na wiele niesamowitych odpowiedzi, np. czy na Litwie mówi się po rosyjsku, że język litewski podobny jest do rosyjskiego (bądź polskiego). Rozmowy często nie mają pojęcia o naszym usytuowaniu, stanie gospodarki, drog, niemal każdy pyta o mafie. Tu nawet publikacje nie są w stanie pomóc, tu najlepszym rozwiązaniem jest turystyka, bo kto choć raz odwiedzi Litwę takich bzdur nie wypowiedzi. Przeciwnie — chce zgłębić swą wiedzę w ciągu następnych przyjazdów, urzeczony piękem Wilna i okolic.

Paweł S. Wilno

### Szanowni Państwo

Barzdę dziękuję za przysłanie kolejnych wydań „Znad Wilii”. To bardzo ciekawe pismo, któremu — jak na razie — udaje się nie wpaść w pułapkę komercji (choć to ogromnie trudne przy dużych kosztach funkcjonowania prasy) i dbać o wysoki poziom informacji kulturalnych i innych (które są solą tej ziemi).

Zyczyć wielu sukcesów osobistych i tych związanych z Pana działalnością na rzecz integracji środowiska polskiego, przy dobrych kontaktach z reprezentantami innych narodów.

Serdecznie wszystkich pozdrawiam.

Marek Czuku Łódź, Polska

### Szanowny Panie Redaktorze

W czasie ostatniego pobytu w Borekowskiej obiecałem tamtejszej bibliotekarce, że dostarczę dla niej trochę książek dla dzieci i młodzieży. Książki te w tej chwili wysłałem przez moje koleżanki z Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej w Zielonej Górze. Proszę je przechować do mojego przyjazdu. Chęć je osobieciście dostarczyć do Borekowskiej.

Dziękuję za przysłane numer „Znad Wilii”.

Z serdecznym uściskiem doni Henryk Szykln Zielona Góra, Polska

**ZNAD WILII 1999.07.16-31**

Otwarcie wystawy w siedzibie Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie miało uroczysty charakter. Prof. Ryszard Brykowski, członek Zarządu Krajowego, prowadzący Ośrodek ds. Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego poza Granicami Kraju, dokonując inauguracji podkreślił, że jest to największa i najciekawsza z dotychczasowych prezentacji artystów — Polaków z Litwy w tym miejscu. Reprezentując galerię Romuald Mieczkowski mówił o kontencie narodowościowym i kulturalnym, w jakim tworzą artyści wileńscy, o tym, że sztuka potrafi „łagodzić obyczaje” i zbliżyć do siebie poszczególnych ludzi i całe narody, podziękował wszystkim tym, którzy przyczynili się do zrealizowania pomysłu — prócz prof. Ryszarda Brykowskiego Ninie Marchewskiej z działu programowego Stowarzyszenia, która wystawę „pilotowała” od samego początku, plastycyście Jolancie Minberg. Słowa wdzięczności należą się Ewie Arabas, innym uczynnym paniom, które pełnią dyżury, udzielając informacji.

Na otwarcie przybyło sporo miłośników sztuki wileńskiej. Byli też goście z zagranicy: prof. Andrzej Ehrenkreutz z Australii, prof. Wojciech Jerzy Podgórski, konsul RP w Lyonie, Aleksander Zająć, działacz polonijny z Niemiec, działacz z Ukrainy, przedstawiciel Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy na czele z jego prezesem Leonem Brodowskim. Przybyła Aleksandra Niemczykowa, Jadwiga Siedlecka, wielu przyjaciół redakcji i galerii — m.in. Tomasz

Jastrun, Zbigniew Hryniwicz, Tadeusz Klejnocki.

Odnótować należy wielkie zainteresowanie mediów polskich wystawą. Relacje z otwarcia dokonały cztery stacje telewizyjne, w tym Program I TVP były relacje radiowe, recenzje w prasie, m.in. w „Rzeczpospolitej”, „Zyciu”, „Naszym Dzienniku”. Wszystko to sprawia, że wystawę wilmian odziedziczą niemalże osobiście nadziejca, że część obrazów zostanie w Warszawie lub wyruszy w różne zakątki Polski i świata. Właśnie tak Polska Galeria Artystyczna stale dokonuje promocji artystów wokół niej zrzeszonych — by sztuka plakastyków wileńskich była znana, na ile zasługuje, by takie promocje dały szansę zaistnienia naszego dorobku również na polskim rynku dzieł sztuki, sprzyjały kolejnym wystawom, nawiązaniu kontaktów, wymianom plenerowym itp.

Na wystawie „Artyści znad Wilii prezentują” pokazano ponad 60 prac 28 artystów. Jest to wystawa „przekrojowa” ich możliwości, gdyż zaprezentowane zostały różne style, różne techniki, jak też różne pokolenia. Tematycznie — też wiele różnorodności, choć celowo w tym miejscu, dokąd przychodzą rodacy z różnych krajów świata, przedstawiono niemało prac z widokami miasta i Wileńszczyzny. O powodzeniu wystawy świadczą także liczne wpisy do książki pamiątkowej.

Wystawa w Warszawie potrwa do 25 lipca.

### Warszawa po raz drugi

Pomyślnie mają zaowocować niedawno nawiązane kontakty ze Związkiem Polskich Artystów Plak-

styków z Okręgu Warszawskiego.

2 września, w doskonałym miejscu, w siedzibie Polskiej Kultury Galeria Lufick, przy ul. Mazowieckiej 11a, tuż obok „Zachęty”, otwarta zostanie wystawa współczesnej sztuki wileńskiej z kolekcji galerii.

Nie trzeba tłumaczyć, jak ważną będzie ta prezentacja — również jako swoisty „egzamin” do oceny możliwości artystów wileńskich przez ich kolegów warszawskich, uchodzących przecież za czołową współczesną sztukę polską. Jest to kolejny, konkretny krok, skierowany na wypromowanie najlepszych naszych twórców w stolicy Polski. W tej chwili trwają przygotowania do wystawy, opracowywany jest plakat, informacja o poszczególnych plakatach.

### ... i wciąż nowe wystawy w Wilnie

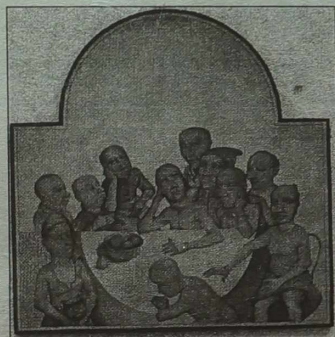
Do 20 lipca czynna jest wystawa malarstwa sztalugowego przedwiecznego zmarłego przed 60 laty Juliana Czechuna. Wielu wilmian zapamiętało go jako wrażliwego artystę, niezwykle uczynnego i pogodnego człowieka. Jego malarstwo nawiązuje do tradycji, ma w sobie wiele ciepła, które promieniuje miłością do stron ojczy- stych, Wileńszczyzny,

choć sam plastyk pochodził z Ukrainy.

Był też Julian Czechun nauczycielem sztalugowym żony — Walentyny Skarżyńskiej i syna — Marcina, którzy pomyślnie kontynuują jego dzieło. Obrazy, pochodzące z rodzinnej kolekcji i stały się podstawą wystawy, która jest okazją przypomnienia dorobku twórczego tego plastyka.

**21 lipca, o godz. 17**, w uroczystej atmosferze, dokona się otwarcia vernisazu malarstwa Edvarda Kokanauskisa, twórcy bardzo oryginalnego, poszukującego, którego obrazy cieszą się wielkim wzięciem, mają dobre notowania i recenzje. Organizatorzy przedstawienia przypuszczają, iż wystawa prac Kokanauskisa stanie się wydarzeniem kulturalnym na szeroką skalę.

### Romuald Mieczkowski



Edvardas Kokanauskis, *Oczekiwanie, olej na desce — jeden z obrazów, które będą ekspozowane na wystawie*

## Malarstwo wileńskie w Warszawie

(dwa oblicza jednej całości)

**Paleta barw wciąż jeszcze żywa, Ale dzieło to czy akt woli,**

**Plótno czy skupienie,**

**Obraz czy wyzwanie,**

**A może tylko przejaw — przed i po.**

Janusz Gluszk

Wartościmy na ogół to, co podlega w jakiś sposób ocenie. Rzadko jednak doceniamy to, co naprawdę wartościowe. Koncentrujemy się na tym, co konkretne, nie bierzemy natomiast pod uwagę tego, co ulotne. Tak, jakby duch, nasze emocje i odczucia nie istniały, a przecież to one znacząco wpływają na naszą percepcję i ocenę wszystkiego tego, co na aksjologicjnym drabinie stawiamy.

Tylko sztuka jakąś wymyka się wszelkim regułom — jest jak wiatr. To, co bowiem zobaczyłem w Domu Polonii przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Nie dlatego, by rozprzerła mnie dumą. Odczuwalem jakąś duchową bliskość z nieznanymi mi wcześniej twórcami, którzy w swoich pracach próbu-

ją zatrzymać czas. A przyznać muszę, nie jest to zadanie łatwe, zważywszy arsenał dostępnych środków, gdzie oprócz warsztatu i talentu, w dyspozycji pozostają ledwie: kolor, gra światła i cienie. A jeżeli artysta udaje się jeszcze zawiadnąć uwagę obserwatora i skupić ją na sprawach ważniejszych, niż tylko chleb, zamierzony cel zostaje osiągnięty. Taką właśnie jest ta wystawa — introspektywna, impresyjna, inspirująca. A razem, kilkadziesiąt plócien autorstwa polskich i litewskich malarzy. I chociaż stylizacje różnorakie — przepiękają się tu historyczne wpływy i nie brakuje kulturowych zasadności — wystawa ta oddajująca swój wspólny mianownik.

Dla twórców tym punktem odniesienia pozostaje bowiem Wileńszczyzna — rubież oddziaływania co najmniej dwóch kultur i dwóch narodów. Bo taka też jest ziemia. Od pokoleń pięczeniowana nie tylko litewskim pługiem, otwiera nasze oczy na to, co kryje wewnątrz, w duchu. Małe ojczyzny bowiem pozostają — żyją w sercach narodu i niczym życiodajne źródła zasilają korzenie życia.

Wszak naród to coś więcej niż stowarzyszenie konsumentów, wspaniały język czy terytorium. Opiera się na trwałym poczuciu wspólnoty i solidarności członków danej społeczności, która aspiruje być tym narodem. Jego nierozerwalna więź

oznacza poczucie odrębności poprzez wspólną, historyczną przeszłość, zwyczajne, tradycje, a nader wszystko poprzez kulturę, która ten naród wyróżnia. Dlatego naród pozostaje zawsze nieustającym plebiscytem. I chociaż życie często gęsto nie szczędi nam trosk, ba — potrafi zwalić z nog i to po wielokroć, człowiek musi iść dalej, musi pracować i tworzyć, bo inaczej zatraciłby swój sens i nie byłby nic wart. Taką jest wymowa tej wystawy. Pod warstwą farby odłania imperatywu powrotu, wędrówkę do gniazd rodzinnych. A to, że jesteśmy kulturowo odmienni, nie oznacza przecież, że gorsi. Cudowność tego świata w różnorodności swój kwiat potrzęga.

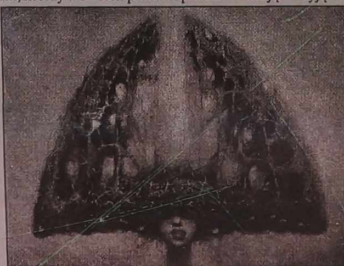
Dlatego każda władza oprócz chleba musi dać ludziom tę nadzieję, w której jednostka odnajdzie własne indywidualne marzenia, te materialne i te duchowe. Te drugie mogą stanowić ledwie miraż, wiarę w coś, czego już nie ma, co przeminęło i nie wróci — muszą jednak trwać w swym przeświadczeniu o realnej możliwości ich spełnienia. Dobrze, gdy ymnacza jej godność i duma narodowa, afirmacja własnej kultury i zobowiązanie wobec historii. Jest to bowiem sfera pewnego osobistego kontaktu z określoną legendą, z mitem integrującym daną społeczność. Dla tej społeczności marzenia mogą nigdy się nie spełnić, ale wiarą w nie, podtrzymywaną przez kolejne generacje, przypominać będzie o chwalebnych dziedzictwie, pozostawionym przez ustępujące pokolenia. Tego dziedzictwa nikt i nigdy nie wykreśli z kultury europejskiej. Nikt przecież — nawet dzisiaj — nie przekreśli historycznej roli, jaką w naszych polskich dziejach odgrywał Wilno. Zaden litewski polityk nie odważy

się powiedzieć, że gród ten nie stanowił o potęgę dawnej Rzeczypospolitej. Chyba na Litwie jeszcze nie zapomniano, że właśnie tutaj powojenna synteza nigdy nie okazała się być zwykłą sumą. Dzisiaj rodzima ludność powraca do korzeni, a nie cierpi na tym ani litewska racja stanu, ani polityczny status quo. Pierwiastek swojskości bowiem wzbogaca tylko nasze wspólne dziedzictwo i trzeba go zapisać na plus.

Istota wolności polega przecież na tym, by to zwykły obywatel mógł mieć swój wkład w budowę państwowego domu, by swoimi działaniami wspierał państwo w taki sposób, że aprobata dla zwierzchnictwa władzy państwowej wynikałaby z jego wewnętrznej woli, akceptacji i przekonania, a nie była tylko wymuszonym poddaniem się nakazom płynącym z góry. Może w palacach władzy zapomniano, ale to nasze człowiecze proste marzenia zakreślają horyzont potencjalnej egzystencji i to one stymulują krąg przyszyłych, także wspólnych zwycięstw. Litwin czy Polak oczekuje potwierdzenia własnego „ja” w tym, co robi i dokąd zmierza, a obowiązkiem państwa jest mu w tym pomóc. Bo chyba że by się dzieło, gdyby tylko „wybrani” mogli mieć swój udział w kształtowaniu nowej państwowości. Można naturalnie próbować administracyjnie spychać jednostkę na margines społecznego życia, można zmieniać granice okręgów wyborczych, można promować kadry według klucza „swoi”, ale nie da się wymazać narodowej kultury. Póki żyje naród — choćby był w mniejszości — póki trwa jego sztuka, powracać ona będzie z nowym dostojestwem w naszych zwyczajach, wspomnieniach, marzeniach. Jak na tej wystawie. W końcu wszyscy jesteśmy częścią jednej całości.

A amalgamat wileński? No cóż — to wciąż najśniejszy diament w kulturze Litwy. Bez naszej wspólnej drogi, nie byłby przecież tym, czym jest.

Janusz Gluszk



Włodzimierz Golub, *Switezianka, 70x90, olej, płótno, 1998. Obraz ten zreprodukowano na plakacie otwierającym wystawę „Artyści znad Wilii prezentują” w siedzibie Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Warszawie*

## Strach przed granitem

Przed blisko dwoma laty mieliśmy burzliwą dyskusję co do czterech rzeźb okresu stalinowskiego na Zielonym Mieście. Zarówno radni miasta, jak i komisja specjalna, również dziennikarze, szerokie kręgi społeczności dyskutowali, co zrobić z postaciami symbolizującymi klasę robotniczą, kolchoźników, inteligencję i armię radziecką. Czy wyciągniętych na baczność z narzędziami pracy pań i pańców (w sumie osiem postaci, po dwie na każdym postumencie) zdekonstruować, a jeśli tak — czy przetrząść (są z brązu), czy wyeksponować w muzeum albo w jakiejś osobnej ekspozycji.

— Zdemontować! By śladu żadnego po złogowym systemie nie zostało — przekonujący najbardziej patriotycznie nastawieni wilnianie. — By takie sowieckie monsty stały w centrum miasta?! — burzono się.

Wich ruszy kalkulatory, zaczęto liczyć, ile ta rozbiórka z budżetu będzie kosztowała. Przejaki ktoś przpomnił, że żyją jeszcze... autor rzeźb, jak i pomysłodawcy projektu.

— Dokonać demontażu monumentów. NO, może nie przetrzącić je, tylko zachować i wyeksponować w odpowiednim miejscu. Zeby mogły obteżreć je przyszłe pokolenia i turyści z zagranicy — była i taka opinia.

Dyskutowano szczerze i długo. Filozof, prof. Arysdas Šliogeris, proponował nie demontować rzeźb okresu totalitaryzmu, ale raczej pracować nad ogólną zmianą wartości w społeczeństwie, pracować „nad sobą”. Powoli, ale efektywnie tworzyć społeczeństwo demokratyczne, otwarte, tolerancyjne do ludzi różnych poglądów, narodowości, wyznań. Nawoływał poczuć się wolnymi obywatelami w wolnym państwie.

Większość radnych opowiedziała się za pozostawieniem rzeźb. Środ-

ków budżetowych „prosiły” dzierać nawięznie ulic, rozpadające się kamienie na Starówce, zniszczone kościoły. Także komisja specjalna ekspertów, składająca się z historyków, plastyków, działaczy kultury, zgodziła się na taką decyzję.

Jednak temat radzieckich „dzieł sztuki” nie pozostawał długo na uboczu. Powrócił na początku tego roku, a kulminację osiągnął przed sezonem letnim.

Chodziło o to, gdzie eksponować pomniki Stalina z placu przydworcowego w Wilnie, Lenina — z Placu Łukiskiego, Lenina z litewskim bolszewikiem Kapsukasem z wileńskiejkim miasteczka studenckiego, partyzantki radzieckiej Maryte Melnikaitė z Jeziorski i in., zdeponowanych pod gołym niebem przy zaskądzie wyrobów z granitu „Dalię”. Początkowo wskazywano na Park Eurojy, który znajduje się przy geograficznym Centrum Europy obok Pikieliskiej i upiękaszjąca rzeźby plenarów międzynarodowych organizowanych przez plastyka i gospodarza parku — Gintarasa Karosasa. Jednak w Centrum Eurojy eksponować totalitarne pamiatki — stwierdzono — nie wypada.

— Po pewnym czasie sprawa zajęła się rząd, który funkcję koordynatora zlecił Ministerstwu Kultury. Resort do sprawy ustosunkował się poważnie: ogłoszono konkurs, przedtem starannie opracowując jego warunki.

Komisja konkursowa uznała, że zwycięzca została instytucja użyteczności publicznej z Druskiennik, kierowana przez przedsiębiorcę Vytautasa Malinauskasa, który to zobowiązał się wyeksponować rzeźby na terenie leśnym w pobliżu uzdrowiska, w dogodnym pod względem turystycznym miejscu.

Decyzja przychyliła została przyjęta przez władze i mieszkańców

okolicznych wsi. Spodziewano się, że już wkrótce w regionie zwiększy się ruch turystyczny. Po przewiezieniu rzeźb musiał Malinauskas jednak wstrzymać prace. Stało się tak z powodu decyzji parlamentu.

Zaczęło się od protestów mało znanej organizacji społecznej „Labora”, zrzeszającej wziętów politycznych i zesłańców. Przedstawiono wiele argumentów przeciwko stworzeniu tego rodzaju parku: nie powinno być wódców komunizmu w regionie Litwy, gdzie najbardziej aktywnie działał uczestnik antyradzieckiego ruchu oporu. Za duży honor takim rzeźbom stać w uporządkowanym parku, zbyt „pielegnuje się” epokę socjalistyczną — padły argumenty. Podchwylił je posłowie na Sejm. Parlamentaryzista Juozas Gaidikas, medyk z Druskiennik, eks-minister ochrony zdrowia (zdymisjonowany po tym, gdy wyszła na jaw afera z pobraniem wielkich dodatkowych wynagrodzeń przez najwyższych urzędników ministerstwa) przygotował nawet projekt uchwały, który popara większość posłów. O zgubnej roli parku i konieczności wstrzymania prac.

Vytautas Malinauskas prace wstrzymał. Co prawda, powiadają, że ta decyzja Sejmu jest też... bezprawna. Przeciwko niej wypowiedzieli się również liczni działacze kultury, uczestnicy ruchu oporu, zesłańcy, mieszkańcy wspomnianego regionu. Być może, ta sprawa już wkrótce będzie wyjaśniana w Sądzie Konstytucyjnym.

I chociaż podczas upałów letnich myślami często sięgamy do tras turystycznych, wypraw, wycieczek, mifologii historii nie tak odległej, wykultej w rzeźbie, muszą zaczeć. Wygląda na to, że do następnego sezonu.

Andrzej Puksztu

## Ten sam depozyt wiary

Z ks. Józefem Kowalczykiem, duszpasterzem Ormian w Polsce, rozmawia Adam Bobryk

— Co odróżnia obrządek łaciński od ormiańskiego?

— Obrządek po łacinie to jest *ritus*, inaczej mówiąc to zespół takich czynności, jak określone ruchy, oprawa muzyczna, śpiew. Czyli wszystko to, co widzimy na szynach. Podstawowa różnica polega na oprawie, natomiast depozyt wiary jest ten sam. To wynika z katolickości Kościoła. Mamy przecież różnorodność co do formy, a jednak — co do dogmatów. Nieuważliwe, wizualne odrębności są bardzo duże. Cały obrządek ormiański uształtował się do roku 450. Sobór Halecdński jest tu wyraźną granicą. Początki Kościoła w Armenii to święci Bartolomej i Juda Tadeusz. Obrządek jest gwarancją zachowania żywności tego narodu. W 1071 r. po bitwie pod Manasert, państwo ormiańskie przestało istnieć. Pomimo tego naród przetrwał, gdyż język był używany w liturgii. Również ceremonialny jest swoistym wyłączeniem się duszy narodowej na zewnątrz. Ksiądz przy ołtarzu musi wykonywać jak najmniej ruchów, gdyż to rozprasza uwagę ludzi. Do tego dochodzą odpowiednie stroje, śpiewy, co tworzy niepowtarzalny nastrój.

Zresztą w całym Kościele katolickim występują rozmaite różnice co do formy. Trudno sobie bowiem wyobrazić, aby masaj czy członek jakiegoś plemienia murzyńskiego z głębi Afryki, nagle zaczął śpiewać pieśni w stylu chóralu gregoriańskiego. Do nich przedzie przemówił bicie w bęben. Także dla Japoniak czy Chińczyka niezbyt przemawiające jest sformułowanie „chleba naszego powszedniego”. Oni oczekują ryzu naszego powszedniego. Gdy czasami pomagam parafii łacińskiej, to mi czegoś brakuje. Msza jest prosta i krótka. U nas celebryt nam jednak jakby chciał, to nie może przyspieszyć nabożeństwa, gdyż wszystko ma swój czas.

— Od kiedy możemy mówić o działalności katolickiego Kościoła ormiańskiego na ziemiach polskich?

— Po klęsce chrześcijan pod Manasert Armenia przestaje w drugiej połowie XI wieku istnieć i zaczyna się emigracja na dużą skalę na skutek ekspansji Turków. Wtedy też na dawne polskie kresy południowo-wschodnie przybývają pierwsze grupy wiekieiników. Założyli oni faktoryjki kupteckie pod nazwą Lissa. to dzisiajśwa wieś Łysiec, nieopodal Stanisławowa (aktualnie Ukraina). Jak głosi legenda, później zakładają How czyli dzisiajśwy Łwów. Obecna katedra ormiańska w tym mieście stoi podobno na miejscu pierwszego kościoła. Początki polskiej państwowości wiążą się więc z początkami dziejów ormiańskich na naszych terenach.

Przed II wojną światową w naszym kościele formalnie było ponad 20 kapłanów. Jednakże część z nich była łacinnikami. Było to następstwem reformy józefińskiej — przeprowadzonej w CK Austrii — ograniczającej liczbę księży. Nastąpiła konflikacja wszelkiego majtaku kościelnego, a dla duchownych etatyl wyznaczał rząd w Wiedniu. Jednocześnie było dużo powolań, ale musieli oni iść w obrządek łaciński. W wyniku tego w niepodległej Polsce występowały ogromne braki kapłanów. Stąd też oddelegowywano duchownych łacinników, którzy otrzymywali tytuły administratorów parafii, ale odprawiali wszystko po łacinie. Poczęto jednak wysyłać kandydatów do Kolegium Ormiańskiego w Rzymie. Pierwszy z nich otrzymał święcenia w 1936 roku. Następny dwa lata później, po czym wybuchła wojna i wszystko się zalańało. Do 1945 r. 80-90 proc. naszej społeczności zamieszkiwano kresy południowo-wschodnie, czyli głównie okolice Stanisławowa, Tarnopola i Lwowa. Na skutek kolejnego rozbioru naszej ojczyzny wszystkie te ziemie znalazły się za granicą. Ci, którzy

przeżyli, wyjechali w nowe granice Polski, zwłaszcza na Śląsk.

— Czy łatwo było odrodzić obrządek ormiański w obecnych granicach Polski?

— Nie mieliśmy własnej hierarchii, gdyż nasz ostatni Arcybiskup Teodorowicz zmarł w 1938 roku. Duchowieństwo zostało wyniszczone przez NKWD. Po wojnie na dobrą



Ks. Józef Kowalczyk: Cały obrządek ormiański uształtował się do roku 450

sprawę pozostawo tylko dwóch księży — Romaszka i Roszko. W 1945 r. przekazano nam kościół w Gliwicach. W oparciu o tą świątynię starano się kontynuować przedwojenne tradycje ormiańskie. Nawet po mszach regularnie organizowano biesiady w formie klubów kawiarni „Agawa”. W 1973 r. były plany powiększenia kościoła i budowy centrum ormiańskiego. Jednak w wyniku śmierci proboszcza, wszystko to upadło. Potem w wyniku braku duchownych z postugą duszpasterską przyszli grekokatolicy i na dobrą sprawę zrobili się tam cerkiew. Do poprzedniego stanu sytuacja wróciła w 1985 roku, gdy przyjechali do Gliwic.

— Jak obecnie liczne jest środowisko Kościoła ormiańskiego w Polsce?

— Dla nas ordynariuszem jest każdorazowo Prymas Polski, tak więc obecnie naszym biskupem jest kardynał Józef Glemp. Poza tym, z duchownych jestem tylko ja. Nie prowadzę dokładnej statystyki wiernych. Szacunkowo można tylko określić, iż w skali całego kraju jest to ok. 30 tys. osób. Oprócz Gliwic, regularnie msze święte odprawiam w Krakowie. W innych miejscowościach, jak w Warszawie, Wrocławiu czy Poznaniu, nabożeństwa odprawiane są rzadziej.

— Z Waszym kościołem p.w. Świętej Trójcy w Gliwicach zdaje się jest związana nietypowa historia...

— Kościół jest jeszcze średnio-wiecznej fundacji jednego z księząt piastowskich. Miasto miało zawsze tytul paronacki. W wyniku tego władze miejskie przedstawiali proboszczowie trzech kandydatów na kapelana tej świątyni. Nazywano się to prawem prezenty. W zamian za ten przewilej miało jako kolar, czyli właścicieli budynku, było zobligowane do utrzymania kościoła i kapelana. Po 1945 roku, pomimo tego, że zaczęła się komuna, miasto jako prawny właściciel budynku kościelnego, było zobligowane do jego utrzymania. Faktycznie też część remontów było finansowanych z funduszy miejskich. Dopiero w 1972 r. świątynię przekazano na własność Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego. W dniu 1 maja 1992 r. Ksiądz Prymas jako ordynariusz erygował samodzielnie parafie. Wtedy to świątynia ta przeszła na własność Kościoła ormiańskiego.

— Dziękuję za rozmowę.

## W kręgu wilnian

### Władysław Niewiarowicz

Jan Tysiewicz, a właściwie Władysław Niewiarowicz, gdyż tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko, malarz, artysta, urodził się w 1815 roku. Pochodził z Litwy. Studia artystyczne odbył w Wiedniu. Następnie wyemigrował do Paryża, tam tworzył. Do końca swoich dni pozostał we Francji. Zmarł w 1891 roku w Montrency. Krótka jest ta notatka biograficzna i okazuje się niaławą sprawą odnalezienie paru dodatkowych informacji o twórcy, którego zawieruchy powstanie i za krępy historii pozabywli domu rodzinnego i spokojnej starości. Do piero niedawno pisać prace o „Grażynie” Adama Mickiewicza dowiedziałam się, że mój przodek znał osobny wielkiego poety: był waz zaobaszany w gościnnie do domu Wieszcza. Wspomina o tym córka Mickiewicza Maria Gorecka: „Wieczorem często bardzo zasiadał ojciec do szachów, to z Niewiarowiczem malarzem, to z panem Aleksandrem Chodźką. Grat on bardzo dobrze; a że dobrych też miał w tych panach graczy, tak

dlugo czasem ciagnęła się partia, że na drugi dzień dalszy ciąg odkładano”.

W 1851 roku Niewiarowicz wydał własnym staraniem i nakładem poematy „Grażyna” i „Konrad Waldenrod”. W zbioru znalazł się przekład utworów: Krystyna Ostrowskiejk — na język francuski i Leona Jabłońskiego — na język angielski. Malarz wykonał ilustracje do poematu — drzeworyty, a było to pierwsze w tak bogatej oprawie wydanie dzieł Mickiewicza. Aleksander Semkowicz, który opracował bibliografię Wieszcza do 1855 roku tak wypowiedział się o tym wydaniu: „Pewną ilość egzemplarzy wydrukowano na papierze wlotowym wielkiego formatu, a kalkiem znakoma ilość zawierała ryciny doskonale kolorowane przez samego Tysiewicza, który był zdolnym malarzem”.

Tysiewicz chciał, aby jego wydanie miało odbiorców w Królestwie, a w Cesarstwie. Posłał nawet luksusowy egzemplarz z ręcznie kolorowanymi ilustracjami, w bogatej szafianowej oprawie, ozdobionej herbami, carowi Aleksandrowi II. Egzemplarz jed-



Władysław Niewiarowicz, autoportret, 1841, własność Muzeum Narodowego w Wilnie

nak zwrócono i odmówiono debitu, gdy dowiedziano się, że Tysiewicz jest emigrantem. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, któremu malarz zapisał w testamencie całą swą dotychczasową twórczość, obrazy, szkice, drzeworyty, a także książki i pamiatki, co jakiś czas wznawia wydania dzieł Mickiewicza, zamieszczając w nich reprinty ilustracji Niewiarowicza. Przeglądając katalog wystaw z Krakowa z 1908 roku, czy z Lwowa z 1934 roku, można odnaleźć także tytuły dzieł jak: „Portret cesarza Franciszka I”, „Głowa Zabawiciela”, „Portret Madonny”, „Św. Rodzina”, „Kwiaciarki”.

Jakim malarzem był Niewiarowicz? Jemu współcześni, mieszkańcy Wilna i Paryża, znali artystę, zamawiali u niego portrety i pochlebnie się o nim wyrażali. Sam Mickiewicz w liście pisanym do Kunequdy Gedroycy, której Niewiarowicz zrobił jedną miniaturę dziecka, wspomina: „(...) Nie wiem dobrze, o jakim malarzu Pani piszesz? Zda mi się, że o Niewiarowiczu (...). Arysta to wcale dobry i można mu śmiało robotę powierzyć”.

Niewiarowicz żyje jeszcze we wspomnieniach ludzi, takich, jak moja babcia, która pamięta, że przychodząc na Mszę św. z rodzicami do Katedry wileńskiej siadała w ławce, a nad nią wisiały obrazy, wykonane przez jego przedziada. Dobrze by było co jakiś czas odświeżać takie wspomnienia, aby pamięć o tych, którzy chociaż w małym stopniu, jednakże przyczyniali się do rozwoju polskiej kultury.

Monika Iwaniuk

## Pokłosie konferencji

### Upamiętnienie Mickiewicza

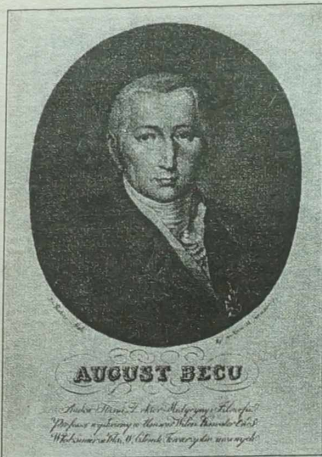
We Francji ukazał się tom materiałów z kolokwium, poświęconego 200-leciu rocznicy urodzin Adama Mickiewicza, które odbyło się 8-9 września 1998 roku w Lyonie: „Bicentenaire Adam Mickiewicz poete qui unit la Lituanie, la Pologne et la France” (Editions PROFA, Lyon, 1999, str. 208).

Wstęp napisał Bronisław Gernec, minister spraw Zagranicznych RP, zaś szóste wstępnie uzupełnił organizatorzy kolokwium — Roman Janowski, konsul generalny RP w Lyonie, Wojciech J.Podgóski, konsul RP i jeden z podstawowych inicyjatorów i organizatorów przedsięwzięcia oraz Patrick Renard z Uniwersytetu Katolickiego w Lyonie, współorganizator kolokwium.

W wydaniu znalazły się referaty wilnian — uczestników kolokwium.

Referat Romuald Mickiewskiego „Mickiewicz dans les consciences des artistes contemporains en Lituanie” („Mickiewicz w świadomości twórczej Litwinów i Polaków na Litwie”) oraz Aleksandra Sokolowskiej — „Mickiewicz w twórczości współczesnych poetów polskich i litewskich na Litwie”.

A oto pełny wykaz autorów tomu, wśród których znaleźli się wilanie: Anna Nawrocki, Joanna Pietrak-Thebaull, Zofia Trojanowska, Jacek Łukasiewicz, Krystyna Poklewska, Maria Prussak, Wojciech J.Podgóski, Anna Mackiewicz, Patrick Renard, Krzysztof Biedrzycki, Język Starnawski, Janusz Odrowąż-Pieniążek, Wanda Kzemińska, Maria Duperou. Wydanie zawiera bogatą bibliografię i indeks nazwisk. W.M.



August Ludwik Bécu, litografia Marcellego Januszewicza według rysunku Jana Rustema

Mimo upływu czasu, postać ojczyma Juliusza Słowackiego — Augusta Bécu, pozostaje nadal postacią kontrowersyjną, choć z pewnością nie w oczach pasierbca. Trudno przecenić rolę wpływu rodziców na kształtowanie osobowości dziecka. Jak wiemy, Słowacki został bez ojca mając zaledwie 5 lat, a w wieku 8 lat miejsce przy jego matce zajął ojczym, prof. medycyny Bécu, w domu którego w Wilnie od 1818 r. przyszły poeta zamieszkał. Czy matka w Krzemieniu byłaby w stanie postać go na studia? Wątpliwe też, czy wrażliwość w takiej atmosferze intelektualnej, jaka panowała w domu dra Bécu przy ul. Zamkowej.

Na wileńskiej Rossie szczerą ki Bécu kryje ciężki polny gład z wykutym napisem, że tu spoczął doktor, jego żona Katarzyna z Tomaszewskich i jedna z ich córek — Aleksandra. To tylne ogrodzenie cmentarza budzi niezłe wiele refleksji, wywołuje spory — czy aby zasłużenie Bécu, spoczywający na tej samej nekrologii, co i Euzebiusz Słowacki, pokutuje do dziś jako przeladawca młodzieży wileńskiej doby romantyzmu i zausznik Nowosilcewa?

August Ludwik Bécu urodził się 3 maja 1771 roku w Grodnie w rodzinie Jana Ludwika Bécu, eksperta w zakresie bankowości, i Karoliny z Heinów. Ich przodkowie wywodzili się z Francji. Sprowadzeni do Polski za Stanisława Augusta, zostali nobilitowani w 1775 roku przez Sejm Rzeczypospolitej. Swoją awans społeczną rodziną zawdzięcza pracovitności i wiedzy.

August Ludwik nie stanowił wyjątku.

Uczył się w Grodnie i Wilnie. Na Uniwersytecie Wileńskim, zwanym wówczas Szkołą Główną, uchodził za studenta, górującego nad innymi zdolnościami i pracowitością. A dowodem na to była niezwykle szybka droga do awansu społecznego — rok 1806 przyniósł mu posadę profesora zwyczajnego patologii i higieny. Krył się za tym jednak niemały wysiłek — złoty medal za ukończenie studiów (1787 r.), doktorat z filozofii (1789 r.), doktorat z medycyny (1793 r.). Od 1 października 1797 roku piastuje stanowisko wiceprofesora patologii i higieny.

karskiego Wileńskiego, powstałego w 1805 r. i w przyszłości mającego odegrać niebagatelną rolę w dziejach nie tylko Uniwersytetu, ale i Wilna, w trzy lata później wraz z prezesem Towarzystwa — Józefem Frankiem zakładają w klinice terapeutycznej Instytut Wakcynacji, dzięki którym mogli otrzymać szczepionkę osoby niezamężne z Wilna i okolic.

Historikom medycyny nazwiskiem Bécu kojarzy się przede wszystkim ze szczepieniem ospy na Litwie. Był nie tylko teoretykiem, prowadzącym wykłady dla studentów. W latach 1798–1814 w charakterze lekarza pracował w szpitalu sióstr miłosierdzia i jako lekarz praktykujący był zdania, że „największą chorobą i epidemią rodzą ubóstwo i niedostatek”. W swoim czasie Bécu odbył kilka podróży kształcących — do Austrii, Anglii, Niemiec, Szkocji. Właśnie pokłosiem nauk i obserwacji było wprowadzenie na Litwie szczepienia ospy metodą Jennera (Edward Jenner — lekarz ang., wynalazca szczepień ochronnych przeciw ospie, 1796 r.). Jego prawie niezmienną metodą pozostaje do dziś najsukcesyjnym środkiem zwalczania tej choroby.

Wartując dokumenty archiwalne, możemy się przekonać, że był Bécu: „Radca Stanu”, „Profesorem wyślużonym w Uniwersytecie Wileńskim”, „Członkiem Towarzystwa Uczonych”, „Kawalerem Orderu Św. Włodzimierza klasy IV”. W 1803 roku nakładem drukarni uniwersyteckiej ukazała się jego książka pt. „O wakcynie czyli tak zwanej ospie krowiej”. W kilka lat później została przetłumaczona na język rosyjski, a autor uhonorowany pierścieniem brylantowym. Doktor drukiem wydał też m.in. w 1807 r. „O porządku utrzymania szpitalów” i „Rozprawę o doskonałości szpitalów”. Zdaniem doktora, szpitale — to przybytki cierpiącej ludzkości. Bécu uważał, że państwo powinno zadbać o „oświecenie, poprawę obyczajów, zachęcenie do pracy”.

W bibliotekach wileńskich możemy też przeczytać publikacje Bécu: „Postrzeżenie mleka zielonego u połonicy”, „Higiena dla panien na pensjach”, „O higienie wieku młodocianego” i in.

Nakładem Tow. Udz. „Kurier Litewski” w 1913 roku w Wil-

nie ukazały się drukiem przetłumaczone z języka francuskiego „Pamiętniki” Józefa Franka, prof. Uniwersytetu Wileńskiego, opatrzone wstępem i uwagami dra Władysława Zahorskiego. Do dziś pozostają one jednym ze źródeł, z którego czerpiemy wiedzę o Bécu. Słowa, nie na rękę doktorowi Bécu. Zarówno tekst w Polskim Słowniku Biograficznym, jak i np. publikacja prof. M. Kosmana są niejako powtórzeniem tego, co przekazał Frank, że w roku 1822 Bécu zabiegał o dożywotnią emeryturę, że był legalistą wobec władz uniwersyteckich, że „uchylał się od swych obowiązków”, bo np. wykłady z polski sądowej tyfu figurowały w harmonogramie prelekcji, zaś prowadzone nie były, że nie udzielił pomocy wracającym ze wschodu niedobitkom armii Napoleona...

Frank krytykuje pod tym względem również innych profesorów, np. Jundziłła, po drugie — była to też swoista rywalizacja — wykłady, praca w szpitalach, innowacje, działalność społeczna itd. Z jednej strony wiadomo, że postać Franka w ówczesnej medycynie odegrała znaczną rolę, głównie jeżeli chodzi o Uniwersytet Wileński, z innej — Frank jako człowiek

kończąc zebranych o ważności wynalazku. Sam Frank pisze: „Obiad odbył się u Oliviera w Rybiskach. Zaprosiłem wszystkich wyższych dostojników i inne wybitne osoby. Na środku stołu stała krowa, wyrzeźbiona przez rzeźbiarza Jelskiego. Przez cały czas

stołach swych przeciwnych — Bogi”. Można tu mówić o rywalizacji, o próbie utrzymania palmy pierwszeństwa, ale znieślawienie ojczyma w „Dziadach” zrobiło też swoje:

(...)

Pani Słowacka pisze, że „sto-

Senator: Nasz Doktor?

Pelikan: Żabity

Od piuronu. Fenomen ten godzien rozbińców:

Około domu stało dziesięć konduktorów,

A piuron go w ostatnim pokoju wytrypil,

Nic nie zepsul i tylko ruble srebrne stopil,

Srebro leżało w biurku, tuż u głów Doktoru.

Starosta: Ruble rosyjskie, widzę, bardzo niebezpieczne (...)

trwania obiadu na zmianę grała muzyka i śpiewał chór...”

Naoczny świadek, Antoni Edward Odyniec, jako stały bywalec wileńskiego domu Bécu, twierdzi, że był to dom nastawiony „na elegancię tu wyższego świata”. A sam gospodarz — „dworak i światowiec”, wiele czasu spędzał na czytaniu i pisaniu listów, znał się na muzyce i dał świetne wykształcenie swoim córkom z pierwszego małżeństwa — Aleksandrze i Hersylii. Mickiewicz, bywający w tym domu niejednokrotnie, wpisał się do sztabucha matki Juliusza Słowackiego, Salomei Słowackiej-Bécu i był pierwszym „sędzią” pierwszych próbek literackich



Portret Józefa Franka, litografia, autor nieznaną XIX w.

Julka. Doświadczwszy wiele przemilczył chwila artystyczno-literackich, spotkał się w 1822 r. z zawodem. Przypadek zadecydował, że wpadł do mieszkania Bécu, gdy ten czytał jego świeżo wydrukowane ballady, które Jan Śniadecki — w obecności autora, nie przedstawionego przez gospodarza zebranych — nazwie blażenstwami. Nasz wieszcz „podziękuję” jednemu i drugiemu. Jan Śniadecki przedstawił pod postacią starca w „Romantyczności”, gdyż nie przepadał za jego „prawdami”. Pamiętamy ten fragment wiersza:

„Czucie i wiara silniej mówi do mnie! Niż mędra szkiełko i oko”.

Za „skórę” dra Bécu weźmie się dokładnie za lat dziesięć, kiedy to na obczyźnie ukaże go w III cz. „Dziadów”. W jednym z listów do matki obrażony pasierbiec Juliusz Słowacki pisze: „(...) Znalazłem inne powody smutku... oh! (...) Skorom przecztał, chciałem koniecznie strzelać się z nim (...). Nienawidzę go...”

Słowacki i Mickiewicz przez całe życie zostaną jako „dwa na

pięty się łączące pistolety”, według innej wersji — piuron przyciągnęły mosiężne instrumenty medyczne, które leżały nieopodal w otwartej walizeczce, gdy profesor uciał sobie pobiedznią drzemkę. „Dziady” stały się księżką niezgodną między naszymi największymi romantykami.

Bécu lubił życie dostatnie i u niego wygodnie. Pracował na to i miał prawo wybierać towarzystwo takie, w którym czuł się najlepiej. Matce Słowackiego podobał jednak wolną rękę co do prowadzenia domu i przyjmowania w nim kogo chce. Młodzież wileńska przychodziła tu również podczas procesu Filomatów, a przed Mickiewiczem nie zamknęły się drzwi, kiedy przyszedł ten dom pożegnany przed wyjazdem do Rosji.

Do dziś dnia krąży legenda o kulistym piuronie, który wpadł przez okno, ale nie przeszło do Ferdynandowi Ruszczyco, mieszkającemu w mieszkaniu dra Bécu wraz z rodziną w latach dwudziestych naszego stulecia. A w tym pokoju, gdzie gościł piuron, był pokój dziecięcy. Syn malarza, Edward Ruszczyca, mieszkający w Warszawie, z uśmiechem przypomina, że kiedy zbliżała się burza — biegł zamykać wszystkie okna...

Józef Frank w „Pamiętnikach” nie zarzuca Bécu braku zaufania względem młodzieży wileńskiej, ale uważa, że zasłużył na karę (jeszcze wtedy nie mógł wiedzieć o piuronie), bo dr zajął mieszkanie, należące się profesorowi Lonenweinowi, również z katedry medycznej.

August Bécu spoczął na Rossie. A prawie obok — „strażnik archiwum Filomatów” — Onufry Pietraszkiewicz. Chyba nie jest to przypadkowe sąsiedztwo, skoro chemik, by sprawiedliwości stało się zadość. Za każdym razem, mijając ciężki polny gład z napisem: „August Bécu, Radca Stanu, prof. Uniw. Wil. I Kaw. Ord. Św. Włod. I klasy. Żył przestął Dn. XXVI sierp. MDCCCXXIV Wie. Swe. LVIII”, mam wrażenie, że przyniata szczerką ojczyma Słowackiego (czy Juliusz byłby poetą, gdyby nie Wilno ze swoją atmosferą, profesorami na czele ze Śniadeckimi, z Alma Mater Vilnensis?) w dużej mierze dzięki naszemu uartemu stereotypowi — „zausznik Nowosilcewa”.

Zrobiły mi wysiłek nad sobą i „Niech Mu ziemia lekka będzie”.



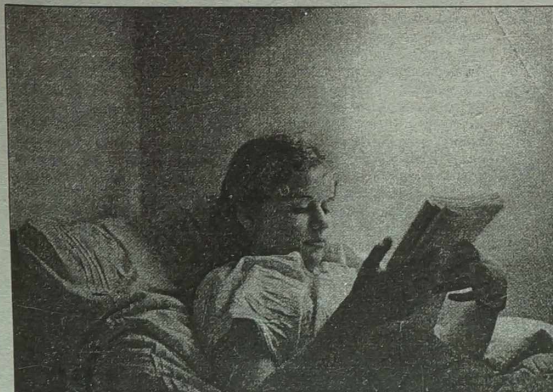
Poseł Stanisław Mackiewicz

Nasze życie rodzinne urozmaicone było wizytami różnych ciekawych ludzi, że wspomnę tylko niektórych. Często nas odwiedzała Kazimiera Iłkiewiczówna, już wtedy znana poetka, która ze względu na swe powiązania rodzinne zatrzymywała się w Wilnie w mieszkaniu Jana Tyszkiewicza, a więc w domu, w którym mieszkaliśmy. Litewska kuchnia Marianny bardzo jej odpowiadała, toteż uwieczniła Mariannę w swoich wierszach, zapamiętałam jeden z „Rymów dziecięcych”:

„Urodził się gil z czerwonym brzuskiem zakrył go śnieg białym kożuskiem, jak to sroka zobaczyła, gwałtu, krzyku narobiła, uściadła na progu Marianny kuchni i z zazdrości puchnie, puchnie...”

Już kiedy wyrosłam z wierzy do gilu, przyniósł mi Ojciec do czytania „Ścieżkę obok drogi” — zapomnianą obecnie „powieść” Iłkiewiczówny o Pilsudskim.

Kiedyś w naszym domu pojawił się bardzo jeszcze młody Ksawery Pruszyński, pracował wówczas jako korektor w „Słowie”. Po jego wyjściu mama powiedziała do ojca: „Czyż nie szkoda tak inteligentnego młodzieńca na pracę w korekcie — przecież on powinien pisać to, co potrafi tak wspaniale opowiadać”.



Autorka wspomnień — Aleksandra Mackiewiczówna — wiele czasu spędzała przy czytaniu. 1937

Po paru latach odbyło się wielkie wesele w Rohoźnicy pod Wolkowiskiem panny Marii z Meystowiczów z Ksawerym Pruszyńskim. Było lato i moi rodzice pojechali na to wesele takim specjalnie przygotowanym do jazdy pasażerskiej wozem, bo w Ulasowszczyźnie nie było żadnego reprezentacyjnego powozu. Po powrocie mama opowiadała ze śmiechem, jak żalostnie wyglądał ten „wozik” wśród powozów in-

nych gości. Ale mój wuj, Piotr Kraheński, który w tej Ulasowszczyźnie gospodarzył, po zniszczeniach I wojny światowej wolał odbudować czworaki i obejścia gospodarze, niż kupować powóz. I tak II wojna światowa nie tylko w Katyniu znalazła grób dla Piotra Kraheńskiego, ale także

zrównała z ziemią cały jego dorobek. Z Pruszyńskim „Słowo” zostało się po jego entuzjastycznych dla rewolucjonistów reportażach z Hiszpanii, lecz przyjaźń z nim nie wygasła.

Staliśmy naszym niedzielnym gościem była najmłodsza siostra mego dziadka — Antoniego Mackiewicza — „Ciocia Czesia”. Dwie z czterech sióstr Antoniego wyszły za mąż za dwóch Litwinów — Matulaitisów (nie spokrewnionych ze sobą). Obaj byli wybitnymi działaczami w nie-

podległościowym ruchu litewskim, tylko że jeden na prawicy, drugi zaś — doktor med. Stasys Matulaitis — na skrajnej lewicy. Stefania Mackiewiczówna wyszła za tego „z prawicy” i w opisywanym przeze mnie czasie jej zięć Stasys Lozoraitis był ministrem spraw zagranicznych Litwy, zaś jej wnuk, Stasys junior, w latach dziewięćdziesiątych kandydował na prezydenta niepodległej Litwy, ale przegrał wybory z Brazauskasem.

Otóż Ciocia Czesia, wtedy, kiedy przychodziła do nas na niedzielne obiady, była

już bardzo starszą panią. Drażniła ją ogromnie zmiana wyglądu ulicy Wileńskiej, auta obok sanek i taksówki, wypierające dorożki konne. Najbardziej nie znosiła motocykli — jak przechodziłyśmy z nią przez ulicę Mickiewicza i właśnie nadjeżdżał motocykl, Ciocia Czesia — ku naszemu zażenowaniu — stawała i wygrażała mu pięścią.

Po śmierci babci Mackiewiczowej — w 1932 roku — u tó-

## W kręgu wilanian

# Stanisława Mackiewicza sen o Polsce mocarstwowej (2)

Aleksandra Niemczykowa

rej zawsze byliśmy na wigili Bożego Narodzenia, Ciocia Czesia przeniosła się na wigilię do nas, na Zygmuntofską. Na Wielkanoc zaś, w niestrudzony sposób, przedostawała się przez zamkniętą wówczas dla Polaków granicę polsko-litewską. Czyli przechodziła w obie strony przez „zieloną granicę” i nigdy jakoś, „przekradając się” przez zarośla i stráže graniczne, ta starsza, tęga pani nie miała żadnych kłopotów. Siostra Cioci Czesi — Stefania Matulaitis, teściowa ministra spraw zagranicznych Litwy, mieszkając stale w Kownie, nigdy nie nauczyła się mówić po litewsku. Dzieci jej, z wyjątkiem jednej córki, Janiny, która wstąpiła do Zakonu SS Urzędniczek w Polsce, czuły się Litwinami. A były to: najstarsza — Wincetyna Lozoraitisowa, następną Jurgis — oficer wojsk litewskich, brał udział w wojnie litewsko-polskiej, co mu nie przeszkodziło w odesłaniu do Wilna wziętego do niewoli ochotnika wojsk polskich, młodzieńczego Józefa Mackiewicza. Kazimierz zmarł młodo, zaś najmłodsza Grażyna była w owym czasie primadonną opery kowieńskiej.

Nie byłam nigdy świadkiem rozmów między siostrami: Stefaniją Czesławą, ale sądząc po ostrym języku i temperamentie Cioci Czesi i ogromnym jej patriotyzmie polskim — musiała być niełatwym gościem w rodzinie Matulaitisów, ale kochała ich i pewnie z wzajemnością. Ponieważ Stasys Lozoraitis junior był akurat w moim wieku, więc opowieści kowieńskie, zawierające informacje o jego grzeszności, szczególnie mnie dotyczyły.

Nie była to jednak gleba do hodowania narodowej wrogości, toteż na początku II wojny światowej Grażyna i Jurgis odwiedzali nas w Wilnie, w naszych nowych, tragicznych warunkach.

Z „naszej” ulicy Zygmuntofskiej do redakcji „Słowa”, znajdujących się na rogu ul. Zamkowej i Królewskiej, przechodziło się przez park zwany Cielętnikiem. Podobno w czasach pogańskich hodowano tu cielęta na ofiarę bogom. Z jednej strony Cielętnika kiedyś stał Zamek Dolny (tam spotykał się Zygmunt August z Barbarą Radziwiłłówną), a nad nim wznosiła się Góra Zamkowa, z ruinami zamku Giedymina na szczycie — z drugiej strony Cielętnika był Plac Katedralny, Katedra pod wezwaniem św. Stanisława i dalej wieża, stojąca, według podań wileńskich, na miejscu ołtarza, poświęconego Perkunowi.

Mój ojciec wychodził do redakcji „Słowa” wieczorem, by nadać ostateczny kształt mając-

mu się ukazać numerowi gazety następnego dnia rano. Wracał do domu nad ranem, przez pustą w tym czasie Cielętnik. Kiedyś napadł na niego z laską, jako argumentem w dyskusjach politycznych, młody zwolennik OENRu — nie wiem, jaki przebieg miała ta walka między przedstawicielami różnych poglądów — faktem jest, że mój ojciec opowiadał o tym zdarzeniu w domu z rozbrawieniem i bez śladu uszkodzeń na ciele. Były jednak i inne wyrazy niezadowolenia przeciwko redaktorowi „Słowa” — kiedyś w nocy, pod oknami naszego pokoju wybuchła bomba. Nędzna to musiała być bomba, bo ku uciesze ro-



Stanisław Mackiewicz w młodości. Obydwa zdjęcia drukowane są po raz pierwszy

dziny, obudziła tylko moją siostrę, ja zaś spałam spokojnie. Komentarze rodzinne, dotyczące tego „zamacchu”, odnosiły się głównie do mojego mocnego snu, a nie do niebezpieczeństwa wybuchu bomby. Ale wtedy jeszcze nie było mody na terror. W Wilnie panowały zasady postępowania, wyłożone w kodeksie honorowym Bożewicza, i zgodnie z tymi zasadami, mój Oj-

ciec miał w czasie swojej wileńskiej działalności siedem pojedynków, nawet nie pamiętam z kim. Wiem, że z red. „Kurier Wileńskiego” Kazimierzem Okuliczem (na emigracji w Londynie bardzo się zaprzyjaźnili) — z Witoldem Hulewiczem na „Jeszcze szablę”, bodaj z prof. Morlewskim. Tyle pamiętam.

Mój Ojciec — różnie go nazywano — pejoratywnie — ze względu na pasję, z jaką pisał i robił wszystko; z pewnością w stosunku do osób, które mu się nie podobały, ostrość wypowiedzi miały swe przyczyny. Pamiętam, jak otworzyłam drzwi dwóm eleganckim panom, prosiłam ich grzecznie, by weszli do salonu i namawiałam, by usiedli, czekając na Ojca. Nie chciałam usiąść, uśmiechali się do mnie — ale jednocześnie byli bardzo oficjalni. Położyli na fortepian wyciżki i wyszli. Byli to sekundanci jednego z przeciwników mego Ojca. Nawet te ich uśmiechy do małej dziewczynki nie były zgodne z kodeksem Bożewicza.

A jednak ten żubr, monarchista, konserwatyista — gwałtownie protestujący przeciwko reforme rolnej, cieszył się wśród wilanian z dziada pradziada (nie tych przyczyn z Galicji czy z Warszawy) wielką serdecznością. Dwukrotnie wygrał wybory do sejmiku i zasiadał w ławach poselskich jako przedstawiciel Wilna. Wracając rano z Warszawy, opowiadał mamie o tym, co się działo w sejmiku, komentując różne wypowiedzi, nie żałując ostreń słów przeciwnikom politycznym i serdecznych uwag pod adresem swych przyjaciół. (Cdn.)

Niniejszy tekst, autorstwa Aleksandry Niemczykowej, córki Stanisława Cate-Mackiewicza, jest drukowany po raz pierwszy. Planuje się go wydać w przyszłości pt. „Moje Wilno” w większym opracowaniu zbiorowym.

## Ratowali Żydów Życie i chleb niosące ręce

Muzeum Żydowskie w Wilnie gromadzi pamiętki, dotyczące różnych aspektów działalności Żydów na Litwie. Znaczne miejsce poświęca się holocaustowi — eksponowane są kopie dokumentów i fotografie tych, którzy z narażeniem własnego życia ratowali innych.

Przed trzema laty z inicjatywą Muzeum ukazała się książka pt. „Życie i chleb niosące ręce”, w której znalazły się relacje, tworzące swoistą antologię przetrwania. Wkrótce ma ukazać się druga część pracy. Jak poinformowała redakcję Viktorija Sakaitė, pracowniczka działu gromadzącego materiały dotyczące ratowania Żydów, wydanie to ukaże się już jesienią i będzie kontynuacją rozpoczętego w 1996 roku przedsięwzięcia, kiedy to, dzięki środkom z Centrum Amerykańskiego, ujrzała światło dzienne część pierwsza. Aczkolwiek dział taki został utworzony w 1992 roku, to praca

ta została zapoczątkowana przed ponad 30 laty. U jej źródeł stał historyk Michał Ehrenburg, Videllus Ronderis z Kowna, Lejba Liwysz z Szawel. O autorach przyszłej książki można powiedzieć, że reprezentują oni różne warstwy społeczne — są wśród nich przedstawiciele inteligencji, książka, zwykli robotnicy i chłopci. Viktorija Sakaitė podkreśliła, że stosunkowo mało takich materiałów (tylko od trzech rodzin) posiada Muzeum z Wileńszczyzny, choć pochodzi stąd немало uratowanych Żydów. Przyczyną tego — być może — jest słaba znajomość litewskiego wśród ludzi starszych, pewna pasywność. Sakaitė apeluje, aby zgłaszać takie dowody ratowania życia — bezpośrednio do Muzeum Żydowskiego.

R.M.

# Hołd nieustający znanym i nieznanym

Lipiec wileński jest tego lata Lalpalny. Słońce prąży, bo, ani jednej chmurki na niebie wczoraj i dzisiaj, tj. 12-13 lipca. A jaki był 55 lat temu? Nie mam pod ręką kronik meteorologicznych, ale w sensie wydarzeń historycznych był zapewne więcej, niż upalny. Był krwawy. Tu się skupiło apogium walk o Wilno i Ziemię Wileńska. Tu się zderzyły w tym momencie dziejowym dwie siły europejskie: jedna tkwiła już na pozycjach spalonych — hitlerowska, druga — nacierała nawałą ze wschodu, nie po raz pierwszy w historii Litwy. Nie wnikajmy jednak w jej głębie, każdy chętny sam zajrzy w dowolnej chwili do pisanych szczegółów. Chodzi o to, że na jej przeciągu na tych terenach nigdy nie zabrakło Polaków, ich udziału w obronie tej ziemi. Mieli prawo — żyli tu od niepamiętnych czasów.

... Jasnější łany dojrzewającego zysła, ale obok też wielobarwne krocie przetrzonych kwiatów. Niestety, często też zwyczajnie ostów, bylicy, polnych rumianków, dziurawca — tyle, ile potrafię zidentyfikować przez szybę autokaru podążającego z licznymi akowcami (i nie tylko z nimi) do miejsc spoczynku ich kolegów poległych przed 55 laty na tych polach — wtedy dosłownie polach walki. „W pobliżu miejscowości Biała Waka znajdowała się kopalnia torfu i zakład jego przerobu. Zakład posiadał uzbrojoną załogę niemiecko-holenderską. Robotnikami byli sowieccy jeńcy wojenni, Żydzi oraz więźniowie narodowości polskiej (...). Bez użycia broni został zlikwidowany posterunek wartowniczy przy wejściu do zakładu i wejście na jego teren... Zdobyto barak bez wystrachu, rozbrojono załogę. Zdobyto 2 RKM'y, 8 pistoletów maszynowych, 3 pistolety, granaty i amunicję. Zabrano również całej załodze ubranie i obuwie. Zwolniono również wszystkich robotników” — jest to relacja por. Wilhelma Tupikowskiego (ps. „Wilhelm”), komendanta 7 Brygady AK. Podobnych relacji jest kilkanaście w pozycji Janusza Bohdanowicza (ps. „Czortek”), dziś mieszkańca Gdańska, jednego z żołnierzy tamtej pory. Właśnie on zostawił książkę wspomnień pt. „Brygada „Wilhelma”. Oddziały partyzanckie „Zuka” i „Gozdawy” (Gdańsk 1998) opisując w sposób udokumentowany działania AK na terenie, na który obecnie się udajemy, by złożyć hołd poległym — na cmentarzach w Koleśnikach w rejonie soleznickim, w Skorbucianach i Krawczunach w rejonie wileńskim, a ta-

kże na Ponarach, gdzie również są liczne ofiary Polaków, w tym też walczącej obok cywiliów AK.

... Koleśnicki cmentarz wzniesiony daleko poza wieś, ale leży na pięknym wznieśnięiu tuż obok drogi cyskiej w kierunku nieodległej Waryny (Orany). Obok przyjeżdżnych na cmentarz przybývajú miejscowi mieszkańcy, w tym trochę młodzieży, dzieci. Na kwaterze akowickiej cmentarza spoczywają żołnierze VI Wileńskiej Brygady Partyzanckiej AK. Nie potrafię się powstrzymać, by nie spisać ich nazwisk. Są to: Mieczysław Orlowski, Waldemar Nowak, Władysław Więckiewicz, Paweł Nehrebecki, Stanisław Kulesza, Zbigniew Gancarczyk, Apoloniusz Duszkiewicz, Leon Apaźnik, Tadeusz Adamowicz, Tadeusz Bogdanowicz, Edward Bulczak, Zenon Romanowski, Wacław Rogoża, Orliński, reszta

dacja Kultury Polskiej na Litwie, Światowy Związek Żołnierzy AK, miejscowi mieszkańcy.

Z relacji Ewaldta Kröllla („Konieczny”, „Karlik”): „Okres przejścia do konspiracji 7 Brygady, nie mając gdzie się udać, spędziliśmy w majątku Skorbuciany. 9 lipca przybył kpt. Jerzy Bronikowski („Czarny Jan”). Skontaktował się z Lilką Dobrzyką i wystąpił w teren z rozkazem mobilizacyjnym. Zgłosiłem się do Sorok-Tatar (...). Otrzymałem od „Czarnego Jana” zadanie: za Sorok-Tatarami, w łączni nad strugą ukrywają się Niemcy zbrojne. Dwoma drużynami, moją i „Strazy”, okrzyk, wżwąc do poddania się, zbroić lub zniszczyć. Inspektor „Czarny Jan” doprowadził nas do pozycji wyjściowej i w asyście dwóch nieznanymi mnie ludzi pozostaje lornetkując przedpole (...). Koncert zaczyna druga drużyna,



Chwila modlitwy w nekropoli w Koleśnikach

NN — 8 osób. Zapytuję w pobliżu stojącą mieszkanke, czy polegli są tu miejscowi ludzie. Odpowiada twierdząco, że znajomi, nawet krewni.

Przybyli kombatanicy — akowcy, przedstawiciele Fundacji Kultury Polskiej na Litwie, Wspólnoty Więźniów Politycznych i Zesłańców wraz z członkami Komitetu Ochrony Pamiątek i Cmentarzy Polskich, harcerze z Drużyny „Burza” z Szumska oraz wilmianie, składają hołd pamięci poległym braciom. Byli akowcy zaciągają wartość pod pamiętkową stellą, składane są kwiaty. Wysłuchano z uwagą nachnionego słowa ks. Dariusza, ktoś zacytował wiersz o nieznanym żołnierzu, wykonał pieśni wojskowe, harcerskie, patriotyczne. Prezes FRPL H.Sosnowski opowiedział o uporządkowaniu tej wojskowej mini-nekropolii na cmentarzu koleśnickim, do czego się przyczynił wspomniany wyżej Janusz Bohdanowicz, Fun-

moja. Krótka seria z erkaemu i pauza. Wzywanie Niemców do poddania się, a ci wieją. (...) Ostatni z uciekających, klęcząc podnosi ręce. Zdziwiony, że jestem tak kłempsiem strzelcem, celowałem w plecy, a poległy ma rozwaloną głowę, odwracam poлегlego i stwierdzam, że ten padający na trzymane w rękę parabellum sam sobie głowę rozwałił (...). Wzięto do niewoli jednego oficera i dwóch podoficerów. Zdobyto 1 LKM z amunicją i łufami zapasowymi, 6 tezek z mundurami, 1 lornetkę i 4 pistolety”.

... Jesteśmy w Skorbucianach. Mały wojskowy cmentarzyk tuż za ponad 150-letnią drewnianą kaplicą, pamiętającą zapewne wydarzenie styczniowego. Jest świeżo w ostatnich latach odrychotowana. Tuż oryginalna dzwonnica, dzwonn zwieszony wysoko na drewnianych pałach. Groby ogrodzone, tak jak w Koleśnikach, podobnie cementowe, niedużego formatu bloki z rysunkiem krzyża i z tabliczkami imiennymi poległych. Dwa rzędy grobów, nazwiska prawio wszystkie zidentyfikowane. Najmłodszą poległą liczył lat 16, większość od 20 do 30, a więc chłopcy z naszych stron, na ogół znów znane swojskie nazwiska: Jan Czernicki, Hipolit Mituniewicz, Antoni Okuniewicz, Zygmunt Monkiewicz, Eugeniusz Ihnatowicz... Nie wymienię wszystkich, we wspomnianej książce J. Bohdanowicza te wszystkie nazwiska są ujęte, podane wielu z nich biogramy, jak zawarta dokumentacja w postaci wspomnień, schematów sytuacyjnych terenu, tłumaczeń pism sztabowców sowieckich do Stalina na temat opanowania sytuacji z „polskimi bandytami”, „polskimi nacjonalistami”. Nadmienić należy przy sposobności, że książka jest to wielce ważna, stanowiąc źródło historyczne, jakie nie zawsze czytelnik znajdzie w archiwach, bo są to bezpośrednie relacje osób biorących



Msza święta w Krawczunach

udział w tych czynach. Część zasadnicza tych materiałów znajduje się w archiwum autora, jako że to jego zasługa ich zebranie.

W Skorbucianach, jak w Koleśnikach, również podobny ceremonial hołdu poległym w ich rocznicę lipcową. Kwiaty, modlitwa, pieśń.

... Dalej — Ponary. Co najniższą stytyczną nekropolią ofiar największej rzezi na naszej ziemi. Obok pomników żydowskich i innych na poboczu niemal stoi wysoki dębowy krzyż, ustawiony na początku formowania się niepodległości Litwy, staraniem osobistym Henryka Sosnowskiego i Alfreda Aluka, b. szefa jednego z kolchozów na ziemi soleznickiej. Granitowa stella i krzyż stoją na jednym z zaspanych dołów, gdzie dokonywano ludobójstwa. Zebrani po krótkiej skupionej modlitwie odpiewują Aniol Pański.

Wróćmy do tamtych dni poprzez lekturę książki J.Bohdanowicza. Z relacji farmaceuty wileńskiego Witolda Augustowskiego: „Pewnego dnia wieczorem, przed apateką na ulicy Niemietwie, kierowaną przez mgr Elertową, zatrzymał się samochód półczerwony i wyładował do apateki dużą ilość waty, gazy, bandaży i odjechał. Ponieważ apateka ta dostala opatrunki z hurtowni, udala się to razem rozlokować (...). Hurtownia ta miała głębokie piwnice i korytarze. Zastępca Lewińskiego (kierownik hurtowni — D.P.) był pan Jakubowski, dawny policjant. Po uzgodnieniu z nim kazalem, aby samochód zajeżdzał na dziedzińcu hurtowni. Tam rozdawano i opatrunki złożono głęboko w piwnicach. Łączniczką przez długie czasy rozloszył z tego miejsca opatrunki do naszych 5 apatek, a część była odprawiona do miejsca przeznaczenia. Transporty takie przychodziły parę razy”. Oczywiście to zaledwie fragment nieco dłuższej relacji znanego wileńskiego właściciela apatek o współdziałaniu z AK farmacji polskiej Wilna, a więc o jej udziale w walce o wolność miasta.

Wplatając te relacje do obchodów 55. rocznicy walk akowickich przypominamy konkretnych ludzi, może tym razem bardziej tych z dołu, niż tych, którzy kierowali ope-

racją „Ostra Brama”. Są mniej znani dla ogółu i ich przypomnienie przyświecało mi podczas tej rocznicowej przegrzynacji. Ale również — czy przede wszystkim — nigdy nie znikną z pamięci ich przywódcy na czele z jednako nieustraszoną i tragiczną ich wodzem Aleksandrem Krzyżanowskim („Wik”). Jak wiadomo, część wileńskich bohaterów znalazła się w Polsce, tam spoczęła bądź jeszcze liczni mieszkają. Polskie kościoły po uzyskaniu niepodległości kraju wypełniły się tablicami pamiątkowymi, znacząc historyczną pamięć swoich rodaków na Wileńszczyźnie i jej stolicy. Nie przypominam, by gdziekolwiek taka tablica się pojawiła w naszych świątyniach, czy świątyniach. Totęz te tradycyjne wojskowe nekropolie rozsiane bynajmniej nie tylko na dawnych Kresach RP, ale po autentycznie szerokim świecie, są jedyną splatą naszego dumy pamięci. Bodaj to jedyną co mamy czynić, to właśnie starać się pamiętać o krwi tamtych. Po legli o takiej czy innej porze roku, ale najserdeczniej będą się zawsze kojarzyć z owocnym lipcem — lipcem ich decydującego zrywu patriotycznego i lipcem jednocześnie porażki, której finałem tu był Międzynarodowy Dzień Wileński. To była przegrana fizyczna; moralne zwycięstwo zawsze będzie po ich stronie i tego nie wolno zapomnieć w naszych sercach.

Janusz Bohdanowicz swą książkę dedykuję następująco: „Niech pamięć o poległych, zamęczonych i zmarłych Koleżankach i Koleżach zostanie przekazana w ten sposób potomnym, a dla żyjących będzie wspomnieniem i pamiętką”. Wszak tak niewiele od nas się żąda, prawda? ...

W tym okresie odbyły się uroczystości również w Wilnie — na grobach żołnierzy-akowców na Rossie, w Kalwarii Wileńskiej, Krawczunach. Również w kościele Ducha Św. odprawiono nabożeństwo w intencji wszystkich poległych w operacji „Ostra Brama” z uczestnictwem w niej przedstawicieli dyplomacji RP, weteranów wszystkich formacji polskich, wliotn. Danuta Piotrowicza



Warta akowisko-harcerska w Skorbucianach  
 Fot. Bronisława Kondratowicz

## Mickiewicz współczesny

12 lipca poeta raz jeszcze powrócił do Wilna. Stało się tak za sprawą wileńskiej premiery filmu reżysera Tadeusza Bystromy „Litwo, Ojczyzno moja”. Odbyła się ona w kinie „Skalvija” z udziałem reżysera. Akcja filmu, który można określić jako dolutentalno-fabularny, rozgrywa się na terenach, gdzie kształtowała się osobowość poety, a więc w Zasosiu, Nowogródku, Tłuchanowiczach, w Wilnie oraz Kownie i kończy się wyjazdem poety do Rosji.

Obraz, o którym mowa, skierowany jest przede wszystkim do młodzieży. Do słów poety skomponowana została muzyka współczesna i piosenki to wykonywane są w języku polskim. Natomiast wiersze, które zza kadru recytuje niby-Mickiewicz i sam komentarz — po litewsku. Słowem,

film dla poliglota, a poeta trochę romantyczny, trochę beata, trochę punk...

Reżyser filmu powiedział, że bardzo chciał, żeby jego prace zobaczyła publiczność litewska, i polska, a widz wileński — jego zdaniem — jest najbardziej przydatnym do oceny całej roboty.

Promocji filmu dokonał Instytut Polski w Wilnie. Na premierze obecny był pra-prawnuk A.Mickiewicza, R.Gorecki z Francji. Obraz został pokazany również w Kownie. Wszakże nie wiadomo, czy specjalna litewska wersja polskiego filmu będzie wyświetlana na Litwie. A szkoda byłoby, gdyby pokaz filmu skończył się po trzech projekcjach, które mogły obejrzeć tylko niektórzy. Józef Zsostakowski

# „Sezon połagowski” czyli jak w XIX w. spędzano czas w nadmorskim kurorcie

(Dokończenie ze str. 1)

ne jedzenie na dużych, obładowanych przysmakami tacach. Po śniadaniu dzieci i panie szybko szły na plażę, żeby nie stracić ani minuty, ponieważ godziny ranne o 9 do 11 zarezerwowane były dla kobiet. Od 11 do 14 placowa-  
nie były panowie. Zmianę godzin obwieszczała chorągiew spuszczana i podciągana na wysokim słupie. W konsekwencji takiego podziału dnia chłopcy i panowie wylegiwali się w łóżkach do południa, a generała Szliza to jeszcze po 12 widać było w jedwabnym szlafroku z „kaukazkiej materii” na wierzandze, popijającego kawę.

Plaża nadmorska ciągnęła się od Lbawy do samej Polagi i jeszcze dalej. Nigdzie nie było żadnych osiedli, z wyjątkiem co jakiś czas pojawiających się domków rybackich. Piasek wyjątkowo miękką, białą i bardzo drobną. Daleko w morze można było wejść do wody, gdyż ciany nadbrzeżny pas to mięlna. Morze, jak to morze, raz spokojne jak jezioro, a raz burzliwe. Szczególnie wiosną i jesienią trudno byłoby tu wytrzymać ze względu na ostre wiatry monsunowe. Ale letników to nie dotyczyło. Połagowskie lato z reguły było słoneczne i gorące. Na plaży stały nieregularnie porożnaczałe drewniane budki, służące do rozbiierania się. Jeśli ktoś chciał dłuższą zająć kąpiel, wciągano kołmi kosek wiklinowy na kołach do wody i tam, z dala od ciekawskich oczu, można było posiedzieć, mowiąc sobie w wodzie.

Alc czasu szybko mijał, należało wracać, bo chorągiew o godz. 11 obwieszczała zmianę godzin. Wzdłuż deptaka, prowadzącego do miasteczka od samej plaży, na platformie z ławkami, ciągnętej przez konia, a sanującej po specjalnie w tym celu ułożonych szynach, panie i dzieci zjeżdżały do swoich panów. Po drodze można było spotkać panów, spokojnie idących nad morze z rzeźnikami, lub przescieradkami, by zakryć ciało przed nadmiernym słońcem. Dzieci często dojeżdżały lub zjeżdżały z plaży na żmudzińskich koniach z cyrkowymi siodłami. Mieściły się na nim dwie osoby. Dla siedzącej z tyłu był do siedział przytwierdzony pałak dla oparcia, a pod nogi specjalne deseczki. Na plaży dzieci bawiły się z konikami i śmiejąc się przy tym. Urządzano też różne rodzaje występów, a to w miasteczku piasek przy brzegu tworzył twardą powierzchnię, koniki nie grzeły.

Po godzinie 14 nie wolno już było przebywać na plaży, żeby nie przeszkadzać wszystkim innym przyjeżdżającym spacerowiczom. W pół do drugiej był obiad, który składali się z czterech dań, a do picia dawano kwas chlebowy i piwo. Często był chłodnik litewski z ogórkami i rakami, a na słodko lody lub „parfait” owocowe. Po lunchu grano w krokietą, rzadko w karty. Raz

Jasio Tyszkiewicz z Waki przywiózł do Polagi rower z ogromnym kołem z przodu i małym z tyłu. Ale ponieważ trudno na nim było utrzymać równowagę, nikt na rowerową wycieczkę się nie pisał. Podwicezorek podawano na wierzandze między czwartą a szóstą. Na pięknie nakrytym dużym stole ustawiano ogromne tace z



Biała willa, należąca do rodziny Tyszkiewiczów na początku stulecia

owocami, ciastkami i konfiturami. Do tego jeszcze była kawa, herbata, czekolada czy kakao, wędle zyczenia.

Codziennie z ogrodów kretyngowskich pan Hejduk, ogrodnik, przysyłał owoce, które równo ułożone w takich koszach, jak do prania białych, nosiły dwie kobiety, na kijach przerzucanych przez pałki. Chodziło o uniknięcie wstrząsania owoców przy przewożeniu furgamką. Podobno pan Hejduk kazał kobietom śpiewać po drodze, żeby nie mogły jeść. Były tam ogromne jabłka, gruski, śliwki, melony, a wcześniej truskawki i winogrona. Po podwieczorku najczęściej wybierano się nad morze oglądać zachód słońca. Chodziło się po pomście, albo od pomostu do lasu Biruty. Za pomost od strony miasteczka już nikt nie chodził, gdyż miejscowa ludność, zwykle o tej porze kąpała się bez kostiumów, a to rzadko zmyśli estetyczny wczasowiczów. Wracając ze spaceru, znów dochodziło się do pomostu, który oddzielał tzw. „cywilizowaną” część Polagi, od tej „prymitywnej”.

W samej Poładzie część brzegu zajmowała była lasem sosnowym, ze słynną górą Birutą. Oprócz wzgórza, na którym legendarna Wajdelotka pilnowała świętego ognia, po drugiej stronie znajdowały się drugie wzgórza, tzw. Czapka Holenderska. Okoliczni ludźm mówili, żeby tam nie podchodzić, bo kto tę górę samotnie odwiedzi... w ciągu roku umrze. Przjechała kiedyś na letnisko z Petersburga Rosjanka, niejaką pani Kowanko i na przekór wszelkim przesądom wybrała się samotnie na spacer. Następnego dnia rano, podczas godzin kąpeli damskiej, usłyszała przeraźliwy krzyk, tak jakby ktoś tonął. Mania Tyszkiewiczówna, zawsze bystra i z reflekssem, wskoczyła szybko na żmudzińskiego konika i pognęła co tchu do miasteczka po pomoc. Jakis pan w szlafroku wylegający się na wierzandze wsiał na konia i pojechał na plażę.

Wjechał w głąb morza, wyciągnął łonaczka za włosy, ale było już za późno. Od tej pory nikt żadnych przesądów już nie lekceżył.

Od pierwszego lipca, od 7 do 23, codziennie w altanie grała orkiestra. Hr. Józef, wielki miłośnik muzyki, sprowadził specjalnie na sezon połagowski orkiestrę z Rygi. Czasami się zdarzało, że jać wędrowni muzycyści zawitali do Kretyny. Wtedy kazano im grać w parku. Publiczność z miasteczka miała codziennie koncert, a gdy próby się powiodły, zawierano z nimi umowę na sezon. W każdym razie nie wyobrażano sobie, żeby lato, nad morzem nie było muzyki.

Zawsze jako pierwsi na koncert przychodzili Mielińscy. Punktualnie przed siódmą zajmowali miejsca w altanie. Wszyscy z podziwem przyglądali się tej nietyposyp parze. On — młody, przystojny, a ona — kaleka na wózku. Chodziła tylko podtrzymywana. Starala się mimo to ładnie wyglądać. Nosiła latem suknie w kolorach pastelowych i zawsze do tego kolorystycznie dobrane piórko, wpięte w niezwykłe rzadkie włosy. Hrabina była kaleką prawie od urodzenia. Ale los jej wynagrodził ułomność niezwykłe oddany miżem, który na krok jej nie odstępował. Tak więc, gdy widział się hr. Mieliński wychodzącego wózek z małżonką w kierunku altany, gdzie na stół wycieczki wywieziony był program koncertu, znak to było, że zbliża się godzina siódma.

Inną połagowską atrakcją, oprócz codziennego muzykowania, był teatr, specjalnie w tym celu wybudowany „dla wycieczki gości” przez hr. Józefa. Z wewnątrz budynek nieopornego, bardzo skromnie przyozdobionego. Wewnątrz wygodne fotele, wyłożone aksamitem, z szerokimi poręczami. Dookoła sceny wielka, rzeźbiona, złocenna ramy, odgradzająca część teatralną od widowni. Czerwna, aksamitna kurtyna dawała teatrowi atrakcyjności. Do rany przytwierdzono był cienutki muslin, który stwarzał wrażenie, że wszystko, co dzieje się na scenie, jest „za mgłą”, a więc nie-realne. Do tego urządzono jeszcze wygodnie pomieszczenia jako przebieralnie dla występujących pan i panów. W amatorach spektaklach brał udział prawie wszyscy, zarówno rodzina, bliżsi i dalsi kuzyni, jak i zaproszeni goście. Na spektakle przychodzili też coraz liczniej przyjeżdżający „kapiełnicy” oraz miłośnicy z miasteczka. Czasami zdarzało się, że hr. Józef sprowadzał zawodowy teatr na sezon letni z Warszawy. Wtedy spektakle odbywały się dla szerszej publiczności, wstęp był platny, a dochód przeznaczano na cele dobroczynne. Podczas sezonu, co tydzień, w szczególności na ten cel przeznaczony budynku, urządzano balet dla publiczności.

W Poładzie wychodził tygodnik

„Limande”, redagowany przez gości i przyjaciół o charakterze wybitnie humorystycznym. Hr. Zofia i hr. Józef figurowali tam jako „Prince et Princessa Regnats”, a cady dom jako „La Cour”. Poszczególne redaktory mieli swoje specjalizacje. Był więc dział pseudopolityczny, gospodarzy, finansów, dział felietonów. „On dit” — dział „ploteczki miejscowych” i wreszcie dział artystyczny, czyli sprawozdania z występów teatralnych, baletu i koncertów oraz dział ogłoszeń. Słowem, o wszystkim, co się działo coby dziać miało w Poładzie, szeroka publiczność była powiadamiona. Artykuły przepisywano na papierze litograficznym, w Memlu dawano do druku, a w niedzielę po Mszy Św. Mille Fayard, francuska gubernantka, z właściwym sobie akcentem, zachwylała głośno, gązeć rozdawała. Była to jedyna chyba rzecz, którą regularnie w Poładzie czytano. Bo przy takiej rozmaitości różnych zajęć na czytanie po prostu nie było czasu. Z wyjątkiem jednego sezonu, kiedy wyszło „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza. Wtedy nie było cętych

sznurach lamponami, czekała rakowa kolacja. Tańczono przy tym, śpiewano, skakano przy stole, a fajerkwki i bengalskie ognie dodawały jeszcze uroku.

Ciągle coś się więc działo w tej Poładzie, ciałe coś nowego wymyślano. Ogłaszano np. dzień prezydentów. Każdy każdemu musiał wiede zrobić podarunek, ale warunkiem było, nie wydać na prezent więcej niż rubla, a najlepiej nie. Przy tym musiał być to przedmiot docipny, charakterystyczny daną osobą lub zawierający jakąś aluzję, drwiącnie opakowany. W każdym razie, pole do popisu i pomysłów wczasowicze mieli. I tak ktoś, kto ciągle zmienił służbę, dostawał lekarzy i poprzebierane w stroje kucharką, pokojowi itd. z napisem: „tylko desperaci przyjdą do Ciebie do pracy”. Ten, kto wydawał za dużo pieniędzy, dostawał dziurawy kosec. Przeczniki na ogół zawinięte były w całe mnóstwo papierów i pudeł, tak więc długo trwał, zanim dostano się do środka.

A wiecezorem, przy świetle lampy, grały się w szynę grę z lamponami. Każdy z grających dostawał lam-



Molo w Poładzie dzisiaj

Fot. Bronisława Kondratowicz

nowet na tak zwykle lubiane dalekie wycieczki. Widziało się młodzież, siedzącą w cieniu i zaczętaną w polsko-szlacheckiej historii, napisanej „ku pokrzepieniu serc”. „Potop” wychodził wtedy jeszcze w odcinkach, ale hr. Józef miał wykupioną subskrypcję i niecierpliwosć oczekiwał poczty z dalszym ciągiem „Trylogii”.

Wycieczka, dozwolona „tylko dla dorosłych” była nocna wyprawa na połów raków. Właściewie nie miały wiele wspólnego z rakami. Raki grały w niej minimalną rolę i były już wcześniej przygotowane, ale jak to tajemniczo brzmiało: wybrać się nocą na połów! Wyzjeżdżano więc przed północą, na udekorowanych kwiatami wozach. Na czele jechała orkiestra, która całą drogę wtrwiała. Jechało na ziemną leśną aleją, a co jakiś czas palące się stopy drowna wskazywały kierunek. Gdy dojechano do celu, na łące, oświetlonej zawieszonymi na

piony na kij w kształcie dużego, czernowego tulipana. Z takim lamponem spacerowało się po ścieżkach w parku. Jeden z grających miał w ręku klucz, lub inny umyślony przedmiot, który musiał przekazać napotkanemu „lamponowi”, przy czym nie wolno było cofnąć się z rąb obranej drogi. Najwyżej można było przyspieszyć, żeby uniknąć spotkania. Gdy odezwał się dzwon, gra była skończona. Ten, kto miał w ręku klucz, przerywał. Spacerująca publiczność nie rozumiała, co się znowu w tej zwariowanej Poładzie dzieje, ale podziwiała wspaniały widok migających ogników, wylaniających się od czasu do czasu spoza dęby i krzewów.

W połowie sierpnia robiło się już chłodniej, morze stawało się coraz bardziej wzbudzone, a dni coraz krótsze, kończył się sezon połagowski. Należało więc zapakować słońce oraz wszystkie wspomnienia, no i wracać do swoich, codziennych, normalnych zajęć.

czarny pino

— USMIECHNIJ SIĘ, CZASEM  
TWÓJ SZEF TEŻ DOSTAJE  
KUPA ...

DWUTYGDNIK LITWA OJCZYŻNO MOJA  
**ZNAD WILNI**

Niezależny dwutygodnik społeczno-kulturalny \* Adres redakcji i galerii: 2001 Wilno, ul. Isganytoja 2/4, tel. 22-24245, fax 22-24255, E-mail: Galeria.znad.wilni@takas.lt Galerii: tel. 22-20200 \* Romuald Mieczkowski (red. naczelny), Józef Szostakowski, \* Współpracownicy: Andrzej Pakuszt, Teresa Dalecka \* Współpracownicy techniczni: Sławomir Subotowski, Bogna Zalewska \* Wydawca: Van Romia S.A. — Prezes Wanda Marciniewicz-Mieczkowska \* Karty: 40367987 Komercyjnis barikas \* Kod: 26101777 \* Skład komputerowy. Druk offsetowy. \* Drukarnia S.A. „Spauli” SL 160 \* Indeks 0255 \* Podpisano: do druku 15 lipca 1999r. \* Cena 1 Lt

## Zapraszamy do Polskiej Galerii Artystycznej

Polożona w samym centrum starówki, w pół drogi od Ostrej Bramy do Katedry. Wystarczy przy Cerkwi Piatnickiej skręcić na Bakstę (po litewsku Bokšto g-vė), stąd drugi zaułek — ok. 200 metrów od ul. Wielkiej — Isganytoja 2/4 (dawny Miłosiński), by trafić do nas.

W Galerii Polskiej mają Państwo duży wybór dzieł sztuki, tworzonych przez uznanych współczesnych artystów polskich i innych krajów. Można tu nabyć książki o tematyce wileńskiej, kasy audio i wideo, upominki, dwutygodnik „Znad Wilni”, napić się kawy lub herbaty, posłuchać muzyki.

Ko dwa tygodnie otwierane są wystawy malarstwa, tu odbywają się koncerty, spotkania z ciekawymi ludźmi, promocje nowych książek. Jest to ważne miejsce spotkań wilanian z rodakami z Polski i innych krajów.

Zapraszamy codziennie od godz. 11 do 18. tel. 223020

Wilno, Isganytoja 2/4



## PRENUMERATA

Cena na jeden miesiąc dla Czytelników na Litwie wynosi 3,90 Lt z dostarczeniem. Zaabonować pismo można w urzędach pocztowych lub w Polskiej Galerii Artystycznej do 10 każdego miesiąca.

Nasz indeks: 0255 „Kurier Wileński” (piątkowy) — „Znad Wilni”

Informacji można zasięgnąć telefonicznie: 223020, 224245, 426963

Prenumerata roczna w Polsce wynosi 120 zł, półroczna — 60 zł, kwartalna — 30 zł. Wpłat należy dokonywać na konto Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej: Bank BP, oddział II Warszawa, nr 10201026 — 159317—270—1/1, „Znad Wilni”, z poinformowaniem o tym redakcji.

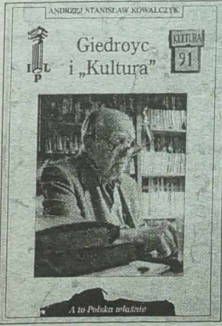
Wysokość prenumeraty w krajach Europy Zachodniej, Ameryki i Australii — 88 USD, 56 Ft. lub 135 Dm. Zaabonować pismo można na dowolny okres, przystępując czerki na nazwiska wydawców i adres redakcji.

Prenumerata w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej — 30 USD rocznie.

Drodzy Państwo, prosimy pamiętać, że prenumeracja „Znad Wilni”, wspieranie Państwo niezależną prasę polską na Litwie i udo-  
stępniejącą jej Czytelnikom na Wschodzie!

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych oraz zatrzymuje prawo do ich redagowania, zmiany tytułów i skracania.

**ZNAD WILNI**  
1999.07.16-31



W Wydawnictwie Dolnośląskim ukazuje się seria „A to Polska właśnie...”. Celem jej autorów jest prezentacja najwybitniejszych postaci, zjawisk, wydarzeń i okresów historii Polski. Wcześniej na lamach „Znad Wilii” informowaliśmy o „Miłoszu” Andrzeja Zawady i „Mickiewicz” Jacka Łukasiewicza (biografia wielkiego romantyka była przerwana również na litewski). Ostatnio w tej serii ukazały się: „Pielgrzymowanie” Antoniego Jackowskiego, „My z Napoleonem” Andrzeja Nieuważnego i zupełnie niedawno — praca historyka literatury Uniwersytetu Warszawskiego prof. Andrzeja Stanisława Kowalczyka — „Giedroyc i „Kultura”. (Również autorka „Kryzysu świadomości europejskiej w esycie polskiej 1945—1977 (Vincenz — Stempkowski — Miłosz)”, „Niespisany przewodnik i paradoks. Rzecz o Jerzym Stempkowski”, jak też — „Sawinków” i „Pan Petura”).

„Kim jest Jerzy Giedroyc? Jak sportretować redaktora, twórcę „Kultury”, polityka, wydawcę i mecenas, który z uporem uchyła się określeniu i wciąż zaskakuje. Rzykował, próbował, mylił się i zwyciężał... — to jest podstawowe pytanie, na które autor książki próbuje znaleźć odpowiedź.

Jest to książka prawie biograficzna. Zespołu redakcyjnego miesięcznika „Kultura”, jak przyznaje sam J.Giedroyc, prawie nie ma. Zofia Hertz, jak i Zygmunt Hertz (zm. w 1979), którzy razem zamieszkali w domu-redakcji w Maisons-Laffitte i tworzyli Instytut Literacki, również przynależą do grupy, a koncepcja pisma, dobór autorów i wszelkie inicjatywy Instytutu Literackiego, który oprócz „Kultury” wydaje „Zeszyty Historyczne” i „Zeszyty Literackie”, należą do jednej z tej samej osoby. Co prawda, nie znajdziemy w miesięczniku artykułów

## Giedroyc i „Kultura”

J.Giedroyc, ani w ostatnich numerach, ani w tych przed dwudziestu czy dziesięcią laty. Do październik 1993 nie było nawet „Notatek Redaktora”, w których obecnie J.Giedroyc wyraża swój stosunek do wydarzeń w Polsce i wokół niej. Przy tym wachlarz zainteresowań redaktora jest bardzo szeroki. Ustosunkowuje się zarówno do spraw politycznych, ekonomicznych, jak również społecznych, ochrony środowiska i spuścizny kulturowej. Tradycyjnie interesuje się sprawami polskiej emigracji oraz Polaków, zamieszkałych poza terenem państwa wschodnią granicą RP. Ostrzeżenie pióra Jerzego Giedroyc nie omiło i polskiego środowiska w Wilnie.

Talent Jerzego Giedroycia przede wszystkim na tym i polega, że potrafi dobrać znanych i utalentowanych autorów, przez wiele lat trzymać się tej samej linii politycznej.

Określił tę linię na pewno nie jest zadaniem łatwym. Przypomnijmy, że wcześniej na ten temat ukazały się — J.Korka „Paradoksy paryskiej „Kultury” (Stockholm 1998), K.Kopczyński „Przed przystankiem Niemcewicza”. Paryska „Kultura” i kraj w latach 1947—1980” (Warszawa 1990).

Charakterystyczną cechą „Kultury” jest również współpraca pisma z twórcami, ich promocja. Z „Kulturą” współpracowali: Stanisław Cat Mackiewicz, Witold Gombrowicz, Józef Mackiewicz, Gustaw Herling-Grudziński, Kazimierz Wierzyński i in. O tym — w rozdziale „Kultura” i pisarze”.

Sprawą szczególnie ważną, na którą obecni autorzy już mogą spojrzeć z pewnym dystansem, jest stosunek „Kultury” do PRL, jej rola w zmianach społecznych i politycznych. Andrzej Stanisław Kowalczyk raz jeszcze w dostępnym dla wielu sposobem problem ten nasświetla.

Na pewno warto upamiętnić na fakty oddziaływania „Kultury” na kraj, szczególnie podczas wydarzeń lat 1956 i 1968, jak też w trudnym okresie 1981—1985.

Czytelnika również nie mogą nie zainteresować kontakty z „Kulturą” Marii Dąbrowskiej, Agnieszki Osieckiej, Zbigniewa Herberta, Stawomira Mrożka. No i, oczywiście, Czesława Miłosza. Wiadomo, że noblista „Kulturze” wiele zawdzięcza.

I chociaż „Kultura” — to „dziecko” Jerzego Giedroycia, dotychczas przez niego „pielęgnowane”, autor książki nie za-

pomniał również o innych pracownikach domu-redakcji na przedmieściu Paryża. Przede wszystkim o Zofii Hertz (przed pięcioma laty ukazały się w Warszawie Izzy Chruslińskiej „Była raz „Kultura”... Rozmowy z Zofią Hertz”), którą J.Giedroyc poznał jeszcze w marcu 1943 roku, kiedy dotarła do stajonującej w Iraku Armii Polskiej, razem z mężem po zesłaniu w Maryjskiej ASRR. Jerzy Giedroyc właśnie zaczął pełnić funkcję szefa wydawnictwa wojskowych w Biurow Propagandy i Kultury na Bliskim Wschodzie. Zawiązała na współpracę kontynuowała po zakończeniu wojny, zakładając Instytut Literacki i tworząc „Kulturę” — początkowo w Rzymie, potem w Paryżu. Również Henryk Giedroyc wiernie towarzyszył wszystkim poczynaniom żywym brata.

„Giedroyc i „Kultura” przedstawia i dzień dzisiejszy pisma. (Może ktoś wpadnie na pomysł przetłumaczyć i wydać ten życiorys Honorowego Obywatela Litwy w języku litewskim?)

Udokładnijmy podstawową bibliografię tematu, dodajmy książkę — Grzyna i Krzysztofa Pomianów — „O „Kulturze”. Wspomnienia i opinie”. Zdzisława Kudelskiego „Spotkania z paryską „Kulturą” (są to referaty uczestników pierwszej w Polsce sesji naukowej, poświęconej piśmie, zorganizowanej w Lublinie w dniach 10—13 maja 1994 r.). Warszawi „Czytelnik” wydaje Archiwum „Kultury”, jako drugi tom tej serii ukazała się „Autobiografia na cztery ręce” w opracowaniu Krzysztofa Pomiana.

Tym niemniej raz jeszcze mamy okazję zapoznać się, lepiej zrozumieć osobę znaną, wpływową, nadal bardzo aktywną.

Oprócz wielu innych zalet książki z serii „A to Polska właśnie...” ma ona tę cechę, że jest bogato ilustrowana. Także na wspomnianych stronach ujrzymy mnóstwo rzadko spotykanych historycznych zdjęć, odbitek ważnych dokumentów... „Giedroyc i „Kultura” — to swoisty podręcznik historii najnowszej. Na pewno zainteresować szerokie grono osób nie objętych wobec rozwoju polskiej myśli politycznej. Również czytelnikom „Znad Wilii” szczerze pozycję polecam.

Andrzej Pukšto

Kowalczyk Andrzej Stanisław, Giedroyc i „Kultura”, Wrocław 1999. Z serii „A to Polska właśnie...”.

*Piszę bo jednak...  
bo może...  
zbudujemy antyklepsydrę  
na przemijanie  
na chiński mur  
zję bo może...  
bo jednak...*

Józef Szostakowski — Wilno

Piekne i kuszące jest Morze Poezji. Poeci wypływają na półwysep, zarzucają swe sieci. Czasem sieci wyjąją pełne ryby, czasem są w nich jedynie wodorosty i puszki po piwie. Rzadko — bardzo rzadko błysnie wśród wodnego śmiecia prawdziwa Perełka — dobyte wiersze.

## Listy do Ciotki

### Jak ja jechał...

Droga Ciociu! Zapewne wiesz, że onegdy modne były listowne opisy podróży, a książka pewnego Rosjanina o drodze z Petersburga do Moskwy weszła nawet do skarbicy literatury światowej.

Otóż i ja, Ciociu, chcąc Ci opisać moją podróż Warszawą do Wilna. Wyjechałszy równo-równieścieńko o godzinie 14, a już po 20 minutach byliśmy na Stacionie. I choć autokar stał 20 minut, żaden handlarz nie wszedł. Przeważnie było nas jedenaścioro pasażerów, tak i nadal podróżowało jedenaścioro.

O godzinie 17 — sześca. Nasz bus zatrzymał się obok przelotnej gospody. Ciociumni droga! Toż w Was raj! Flaczki tanie, 20-centymetrowy kawalek gotowanej kiełbasy z musztardą — tylko za 2 złote, a kilogram cukru — niewiele ponad złotówkę. Ciociumni Ty moja, toż to trzy razy taniej, niż u nas! Na takie ceny zagrała we mnie kupiecicka krew, kupilem i ja trzy kilo cukru, tylko gdy go schowałem przed celnikami? I nuz rozkładać do toreb: 2 kilo do toreb zwycięzaję, jedno — do reklamówki, może tak wykłamać celników.

Panie, ja z Warszawy wiozę dziesięć kilo i nie lękam się, a pan robisz zamieszanie ze swoimi trzema kilogramami — perswadował obok siedzący kolega „po lokcu”.

My tu gadu — gadu, a dziad gruździ trzęsę — głosi przysłówce. My tu w gospodzie jemę i popijamy (nie powiem czym), a czas leci. Pytam więc kierownika, czy już aby nie dość odpozyczynu i nie musimy ruszać. A oni na-

to: „Granicę mamy przekroczyć o 21. Za wcześniej — nie można”.

— A więc kiedy przyjedziemy do Wilna?

— Za dziesięć minut północ. Masz ci babo placek! Toż w Wilnie będzie już noc, puste ulice, nie kursuje żaden autobus. Jak dojedziemy do domu? — pyta panusia.

— To pani weźmie taryfę. A jak będzie rano? — to z autokaru harmonogram przez komórkę. My mamy harmonogram przyjazdu do Wilna, a godziny przybycia, jak wiadomo, ustala nie było kto, tylko kierownictwo.

Rzeczywiście, kierownictwo w odróżnieniu od zwykłego pasażera jeździ taksówkami. Służbowymi. Dla pasażerów natomiast rozkład jazdy autobusów układano dziesięć lat temu. Dziś na granicy wiatr hulka, koleją ani śladu, ale pasażer, który przybędzie z Wilna autobusem do Warszawy, musi dokonywać się na laweczkach na dworcu warszawskim. A ten, kto w południe wyjechał z Warszawy, o kwadrans spóźni się na ostatni rejs komunikacji miejskiej w Wilnie.

Cóż, samo uruchomienie połączeń autobusowych z Wilna do Warszawy i vice versa — to dobry początek. Ale inie przysłowo głosi, że dobry początek, to tylko połowa sprawy. Należałoby jeszcze przemysleć harmonogramy, a do tego trzeba mieć tegę głowę i nieco wyobraźni...

Janusz Bielski

## Podgląd

### Sprawy nie na lato

Dwie sprawy, mimo upałów, nie można przesunąć na plan dalszy. W znacznym stopniu dotyczą one delikatnej materii stosunków litewsko-polskich. Przede wszystkim wewnątrz Litwy.

1. Sąd wreszcie uporał się z „autonomistami” z Solecznik, którzy w okresie zdobywania niepodległości na Litwie liczyli na autonomię w składzie Związku Radzieckiego. Wśród najsurowiej skazywanych są Polacy. Nie podzielałem poglądów Leonia Jankielowicza, ani innych „autonomistów”, o czym wystarczy przekonać się, czytając felietony Bończy w dobre przesilenia. Jednakże dziś, po latach od proklamowania niepodległości, z punktu widzenia *de facto*, nie mogę się nie posprzymrać od wielu wątpliwości *de iure*.

Otóż: dlaczego teraz zapada wyrok? Dlaczego jest o surowy, skoro oskarżeni nie sprawili zagrożenia, a w wyniku ich działalności nie ucierpieli ludzie. Oni po prostu przegrali. Dalej: dążenie do autonomii w wielu krajach jest wyrazem demokratycznego pluralizmu, który zwyciężył znaczącą wielokulturowością, przebaczącą, bądź „nawracającą” dawnych przeciwników na inne poglądy. Przecież, na Boga, ci ludzie nie dowodzą dywizjami czy plutonami wojsk. Wydaje się, sprawa od strony prawnej nie jest klarowna, i niepotrzebnie przeciwstawia sobie ludzi.

2. Rząd przyjął ustawę o podstawach mecenatu państwa nad kulturą etniczną (litewską — red.). Tak zredagowana nazwa ustawy w warunkach wielokulturowości Wilna już nie może nie budzić niezadowolonej. Czy nie można było przyjąć takiej ustawy bez przymiotnika „etniczna”? Mecenatu nad kulturą. Po prostu. Jako taką. Bez narodowego pierwiastka i „obywateli”, wyodrębniających się z „rodzeń „narodowych” nie do tego nie wróży. To jest

„niemodne” w świecie, to u nas niepotrzebnie mać spokojną lata i widoki pracujących na niewie kultury nie-Liwinów na przyszłość. Jeśli twórcy ustawy, rezerwując priorytet dla siebie, odsyła Polaków, Białorusinów, Rosjan, Żydów, Tataarów i Karaimów do Konstytucji, wobec której wszyscy jesteśmy równi, czy do ustawy o mniejszościach narodowych, to po co w ogóle trzeba było coś takiego podejmować?

Z drugiej strony — najgorsze są te ustawy, które nie przeczą Konstytucji, ani też nie koludują z innymi dokumentami, nie potrzebując odsyłać i zawiłych wyjaśnień. Ja bym napisał: „Państwo w trosce o swych obywateli (ma się rozumieć wszystkich) wspiera najcenniejsze inicjatywy kulturalne”. Największym naszym bogactwem jest spuścizna po Wielkim Księstwie Litewskim — w postaci wielokulturowości, która tak pięknie znawczywała w architekturze naszych miast, w literaturze, w sztuce, czy muzyce. Osobniczo uważam, że wielokulturowość jest nadal większą szansą i wyzowaniem dla Wilna. Inaczej, jego nastroj — jako miasta „klasycznego”, które przyciąga swą magię zjawia ludzi wileńskie, odnajdujących tu swe korzenie, zniknięcie, zaś pokolenia chipsov i coca-coli, amerykańkizacji po litewsku, zniweczają szansę, którą im daje historia, nawiązując do czasów, kiedy Litwa była potęgą.

Nie wiem, dlaczego te sprawy zbiegły się z pełnią lata, kiedy chciałoby się mówić i pisać o wypoczynku, czy problemach „ogórkowych” i całkiem blahych „Sąsiedź mówi: latem nikt nie ma sily w takich upałach walczyć, a kiedy z jesienią nieco się ochłodzi, to wyrolki i ustawy nabiorą mocy. I będzie po krzyku.

Tomasz Bończy



## Bosa

*Po zielonej łące biegniesz bosa  
albo z fantazją w kałużę wpadasz  
ledwie koszulką nocną okryta  
i tą kokardką we włosach — wplecioną,  
jak płatek róży — czerwona.  
Albo jak rumieniec na twarzy  
w chwili zawstyżenia płonący,  
albo jak mak kwitnący,  
widomy znak lata i spełnienia natury,  
gdę w miękkiej ciszy poranka  
naogóścią speszona  
szepnęła kocham.  
I rozlota się stolicę  
po zielonej łące  
bosa i skwonkowo.*

## Poezja

Ernest Pieşkov,  
meczotina

Janusz Głuszka — Warszawa